NOWELE

Biblioteka „SZTANDARU POLSKIEGO"

Paryż 1946.

Cena: Frs. 15.

STEFAN ZEROMSKI

S Z A N U J K S

Nie zaginaj jej karte
Nie kreśl jej stron
Nie kładź otwartej ks
Nie kładź jej na brud
Nie czytaj przy jedze
Nie szarp i nie wyryw
Nie śliń palców przy

P a m i ę t a

Książka polska jest w

WSZYSTKICH P

niesie ona im pokrzep

Niszcząc książkę - ok

nie pos
bne.

Gwizdanie i dysertacje z gospodynią raz przyzwoitsze (o nie-

ODCINEK POWIEŚCIOWY „SZTANDARU POLSKIEGO"

STEFAN ZEROMSKI

DO CZYTELNIKÓW.

1. W celu uniknięcia zagubienia lub kradzieży - Polska Y.M.C.A. prosi o czytanie książek tylko na miejscu, w świetlicy.

2. Czytelnik, który przyczynia się do zagubienia lub kradzieży książki, obowiązany jest nie tylko zwrócić jej wartość, ale może być pozbawiony ponadto przez Kierownika prawa korzystania z biblioteki Ymki.

3. Polska Y.M.C.A. zwraca uwagę nierzetelnych czytelników że - powodując zagubienie lub kradzież książki, - narażają na stratę pieniężną kierownika Ogniska Y.M.C.A. który ze swych skromnych osobistych pieniędzy musi odkupić każdą brakującą książkę lub pokryć jej wartość.

4. Ze względu na ogromną wartość książki polskiej zagranicą - prosimy o pieczę nad nią i o obronę jej przed zniszczeniem.

Polska Y.M.C.A. we Francji.

nie pospolite, a niejednokrotnie ...
bne.

Gwizdanie i dysertacje z gospodynią raz przyzwoitsze (o nie-

414

S Z A N U J   K S I Ą Ż K Ę .

Nie zaginaj jej kartek
Nie kreśl jej stron
Nie kładź otwartej książki do góry grzbietem
Nie kładź jej na brudnym stole.
Nie czytaj przy jedzeniu
Nie szarp i nie wyrywaj kartek
Nie śliń palców przy przewracaniu.stronic.

P a m i ę t a j, ż e:

Książka polska jest wspólnym dobrem

WSZYSTKICH POLAKÓW

niesie ona im pokrzepienie w smutkach

Niszcząc książkę - okradasz swych rodaków

ODCINEK POWIEŚCIOWY „SZTANDARU POLSKIEGO"

STEFAN ZEROMSKI

SIŁACZKA

W najlepszym humorze powrócił do domu doktór Paweł Obarecki z winta za pośrednictwem którego składał uroczyście życzenia księdzu plebanowi wraz z aptekarzem, poczciarzem i sędzią w ciągu ośmiu godzin z rzędu. Powróciwszy, drzwi gabinetu zamknął tak szczelnie, aby się do niego nikt, nie wyłączając dwudziestoczteroletniej gospodyni, wedrzeć nie mógł, — usiadł przy stoliku i wpatrywał się przedewszystkiem z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanowywać go zaczyna „metafizyka".

Wiadomą jest rzeczą, że człowiek kultury, wyrzucony przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Lwowa, Kurozwęk lub, jak doktór Obarecki do Obrzydłówka, podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacji i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych — stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinnożerny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem, poprzedzającym wymioty. Zwyczajną nudę małomiasteczkową połyka się bezwiednie, jak bezwiednie zając połyka jaja tasiemca, rozproszone na trawie przez psy... Od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bąblowca — „najzupełniej mi jest wszystko jedno" — zaczyna się właściwy proces umierania. Doktór Paweł w epoce jego życia, o której mówię, zjedzony był już przez Obrzydłówek wraz z mózgiem, sercem i energią — zarówno potencjonalną, jak i kinetyczną. Doświadczał nieprzezwyciężonego wstrętu do czytania, pisania oraz rachowania, mógł całemi godzinami spacerować po gabinecie lub leżeć na szezlongu choćby z niezapalonym papierosem w zębach z tęsknem, dokuczliwem i bolesnem niemal oczekiwaniem na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść, mówić cokolwiek, choćby kozły przewracać, w natężonem wsłuchiwaniu w szmery i szelesty, zwiastujące przerywanie ciszy, która dławi i przygniata niejako do ziemi. Szczególniej dokuczała mu zazwyczaj jesień. W ciszy jesiennego popołudnia, zalegającej Obrzydłówek od przedmieścia do przedmieścia, było coś bolesnego, coś, po poduszczało do wołania o pomoc. Mózg, opleciony niby miękkiem przędziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie pospolite, a niejednokrotnie — stanowczo do niego niepodobne.

Gwizdanie i dysertącje z gospodynią raz przyzwoitsze (o nie-

słychanej np. wyższości pieczonego prosięcia, nadzianego kaszą tatarczaną, rozumie się, bez majeranku, nad takiemże prosięciem, nadzianem innemi substancjami), kiedyindziej zaś ohydnie nieprzystojne — stanowiły jedyną rozrywkę. Wytoczy się, bywało, na połowę niebios chmura z potwornemi odnogami w kształcie łap tytanicznych i bury jak kłąb zawiśnie bezwładnie, nie mogąc rozwiać się w przestwór i grożąc zawaleniem się na Obrzydłówek i dalekie, puste pola. Od chmury tej leci, niesiona przez wiatr ukośnie mgła kropelek, które osiadają na szybach w postaci kryształków, sprawiając w szumie wiatru szelest odrębny i przejmujący, jakby obok, gdzieś za węgłem domu łkało dziecko, dobywające resztek jęku. Daleko na miedzach stoją, pozbawione liści, samotne grusze polne, miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze... Myśl zbiera z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego — i mglisto, niejasno, bezwiednie wyczuwaną trwogę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągał się na sezony letnie i wiosenne. Zagnieździł się w duszy doktora smutek zjadliwy, a nie mający żadnej podstawy. Za nim nadciągnęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze, wytrącające z rąk ofiary nawet nowele Alexis'a.

„Metafizyka", jakiej doktór Paweł doświadczał ostatnimi czasy raz, czasami dwa razy do roku — to kilka godzin świadomego samobadania, bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się, graniczącego z wściekłością szlachetnych porywów, przywalonych gliną bezczynności, rozmyślań, wybuchów goryczy, postanowień niezłomnych, ślubów, zamiarów... Wszystko to, rozumie się, nie prowadziło do żadnej zmiany na lepsze i przemijało, jako pewna miara czasu mniej lub więcej dotkliwego cierpienia. Z „metafizyki" można się było wyspać, jak z bólu głowy, by wstać nazajutrz z umysłem odświeżonym, energiczniejszym i uzdolnionym lepiej do podjęcia zwyczajnego jarzma nudów, oraz używania wszystkiej energii mózgu na wymyślanie najsmaczniejszego jadła. Endemia „metafizyki" wskazywała jednak naszemu doktorowi, że w jego egzystencji roślinnej, najedzonej, niejako nasyconej filozofią mocnego, zdrowego rozsądku, kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka pod próchniejącą kością.

Doktór Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześcioma laty, zaraz po ukończeniu studiów, z umysłem rozwidnionym zorzą niewielu wprawdzie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli, tudzież z kilkoma rublami w kieszeni. Mówiono podówczas bez przerwy o konieczności osiedlania się w lasach i Obrzydłówkach. Posłuchał apostołów. Był śmiały, młody, szlachetny i energiczny. W pierwszym zaraz po osiedleniu się miesiącu wydał niebacznie wojnę aptekarzowi i felczerom miejscowym, uzdrawiającym za pomocą środków, wkraczających w dziedzinę misteryi. Aptekarz obrzydłowski, „eksploatując sytuacyę" (do najbliższej, apteką przez cywilizacyę obdarzonej, miejscowości było mil pięć) — nakładał haracz na jednostki, pragnące powrócić do zdrowia dzięki jego olejom, — balwierze zaś wybudowali, trzymając się z farmaceutą za ręce, wspaniałe domostwa; w *kacabajach*, niedźwiadkami podbitych, chadzali, zachowując na obliczach wyraz takiej powagi, jak gdyby w każdej chwili żywota prowadzili księdza plebana na procesyji Bożego Ciała.

Gdy delikatne i ogniste perswazye, skierowane do farmaceuty, a wypowiedziane patetycznie z rozmaitych „punktów widze-

nia", traktowane były, jako idylle młodzieńcze, i skutku żadnego nie odniosły, — doktór Obarecki, uzbierawszy nieco grosza, kupił apteczkę podręczną i zabierał ją ze sobą, jadąc do chorych na wieś. Sam przygotowywał na miejscu lekarstwa, udzielał ich za bezcen, jeżeli nie za darmo, uczył hygieny, badał, pracował z fanatyzmem, z uporem, bez snu i odpoczynku. Rzecz prosta, że natychmiast po rozejściu się wieści o apteczkach przenośnych, udzielaniu pomocy za darmo i tym podobnych punktach widzenia — wybito mu wszystkie szyby, jakie istniały w ubogim mieszkaniu. Ponieważ zaś Boruch Pokoik, jedyny szklarz w Obrzydłówku, odprawiał w owym czasie święto Kuczek, — trzeba było okna wykleić bibułą i czuwać w nocy z rewolwerem w prawicy. Wprawione wreszcie szyby wybito powtórnie i wybijano je odtąd periodycznie, aż do chwili sprawienia dębowych okiennic. Rozpuszczono między ludnością miasteczka wieść, jakoby młody doktór obcował z duchami ciemności, oczerniono go w opinii inteligencyj okolicznej, jako niesłychanego nieuka, odciągano przemocą chorych, zmierzających do jego mieszkania, wyprawiano w majowe wieczory kocie muzyki i t. d. Młody doktor nie zwracał na to wszystko uwagi, ufając w zwycięstwo prawdy. Zwycięstwo prawdy nie nastąpiło. Nie wiadomo dlaczego.... Już po upływie roku doktór poczuł, że jego energia staje się zwolna „dziedzictwem robaków". Zetknięcie blizkie z ciemną masą ludu rozczarowało go nad wyraz; jego próby, namowy, istne prelekcye z zakresu hygieny upadały, jak ziarna na opokę. Robił, co tylko mógł — napróżno! Szczerze mówiąc — trudno nawet wymagać, aby człowiek, nie mający butów na zimę, wygrzebujący w marcu z cudzych pól zgniłe, zeszłoroczne kartofle w celu czynienia sobie z nich podpłomyków, mielący na przednówku korę olszową na mąkę, aby tę domieszkę do zbyt szczupłej miary mąki żytniej, gotujący kaszę z niedojrzałego ziarna, zebranego o świcie „sposobem kradzionym", — mógł zreformować w sensie dodatnim zaniedbane zdrowie swoje pod wpływem choćby najzrozumialej wyłożonych praw zdrowotności. Nieznacznie doktorowi zaczęło być „wszystko jedno..." Jedzą zgniłe kartofle — cóż począć? — niechaj jedzą, jeżeli im smakują. Mogą nawet jadać surowe — to trudno...

Ludność żydowska miasteczka leczyła się u marzyciela, ponieważ nie odstraszały jej duchy ciemności, a zachęcała nadzwyczajna taniość „medycyny".

Pewnego pięknego poranku doktór skonstatował, że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją — zgasł. Zagasł sam przez się: wypalił się. Wówczas apteczka podręczna została na klucz do szafy zamknięta i doktór sam jedynie z niej korzystał.

Co za męczarnia jednak dać się pokonać farmaceucie i balwierzom, ustać, zakończyć wojny obrzydłowskie zamknięciem apteczki do szafy!

Zwycięzcami mają prawo się okrzyknąć i zbierać łupy, lecz nie oni go pokonali: sam się pokonał. Zadusił proste i wysokie myśli i uczynki, może dlatego, że się w jadło zbytecznie wdawać zaczął — dość, że zadusił. Coś tam jeszcze robił, leczył myśląc — nie miał już jednak nikt z całej jego ówczesnej „działalności" za pół papierosa pożytku.

W okolicznych siedzibach pańskich przemieszkiwali dziwnym zbiegiem okoliczności sami troglodyci „z dziada pradziada", którzy doktorów wogóle traktowali w sposób cokolwiek niewspółcze-

sny. Jednemu z nich złożył doktór Paweł wizytę, co było pomysłem chybionym, ponieważ troglodyta przyjął go u siebie w gabinecie, siedział podczas wizyty w kamizelce i jadł spokojnie szynkę, krając ją scyzorykiem. Doktór poczuł w sobie napływ ducha demokratyzmu, powiedział półhrabi coś cierpkiego i nie składał więcej wizyt w okolicy.

Pozostał tedy do wymiany myśli ksiądz proboszcz i sędzia. Obcować jednak zbyt często z plebanem — markotnie jest nieco: sędzia zaś był człowiekiem, mówiącym rzeczy, których zupełnie nie można było pojąć, — pozostała tedy właściwie samotność. Aby uniknąć złych następstw absolutnego przebywania z samym sobą, usiłował zbliżyć się do przyrody, odzyskać spokój, harmonię wewnętrzną ducha, poczucie siły i odwagi, wynalazłszy te żelazne ogniwa, jakie człowieka zespalają z przyrodą. Żadnych jednak ogniw żelaznych nie odnalazł, pomimo, że błąkał się po polach, docierał nawet do poręb w lesie i zagrzązł pewnego razu w bagnie na pastwisku.

Płaski krajobraz otaczało zewsząd sinawe pasmo lasu. Bliżej, na wydmuchach szarego piasku, rosły samotne chojaki, a naokół ciągnęły się nie wiedzieć do kogo należące zagony. Pastwiska, porosłe „kozicą" i żółtawemi trawami, umierającemi przedwcześnie, jakby po rozwoju gałeczek zieleni w ich pędach zabrakło światła — stanowiły jedyne upiększenie Obrzydłówka. Zdawało się, że słońce oświetla to pustkowie po to jedynie, aby okazać jego bezpłodność, nagość i posępność...

Brzegiem drogi, okrytej brudnym piaskiem, pokrytej wybojami i wygrodzonej ruinami płotu, wlókł się codziennie biedny doktór z parasolem.... Droga ta nie prowadziła, zdawało się, do żadnych osad ludzkich, rozszczepiała się bowiem wśród pastwiska na kilkanaście ścieżek i ginęła między kretowiskami. Zjawiała się znowu dopiero na szczycie wydmy piaszczystej w postaci dwu trójkątnych wyżłobień w piasku i szła w las karłowatych sosenek.

Jakaś niecierpliwa złość ogarnęła doktora, gdy patrzył na ten krajobraz, i pożerała mu spokój nieokreślona obawa...

Lata upływały. Zarządzono z inicjatywy księdza plebana zgodę między aptekarzem a doktorem gdy skonstatowano dodatnie zjawisko „ochłonięcia" tego ostatniego. Antagoniści zaczęli odtąd wspólnie „orać" w wincie, choć doktór z obrzydzeniem zawsze patrzył na farmaceutę. Stopniowo i obrzydzenie nieco się zmniejszyło. Zaczął chodzić z wizytą do aptekarza i emablować jego żonę. Pewnego razu przeraził się nawet wynikiem analizy własnego serca, która okazała, że zdolnem jest do platonicznego rozmiłowania się w pani aptekarzowej, damie, tępej umysłowo, jak siekierka do rąbania cukru, gotowej dać się ukrzyżować za przekonanie zupełnie nawet bezzasadne, że jest wiotką, powabną i niebezpieczną, i opowiadającej z przedziwnym zapałem, a bez przerwy o grzechach głównych swojej pokojówki. Słuchał doktór Paweł całemi godzinami wymowy pani Anieli, zachowując na obliczu uśmiech, jaki oglądać można na ustach młodzieńca, emablującego grono pięknych dam w chwili, gdy mu najstraszliwiej dokucza ból zębów.

Do czynów bohaterskich w zakresie demokratyzacyi w Obrzydłówku pojęć, choćby w imię znośniejszego przepędzania czasu, nie był już zdolnym. Za żadną cenę nie byłby składał wizyt rzeźnikom, jak to zamierzał swojego czasu; jeżeli mógł rozmawiać, to jedynie z ludźmi, będącymi w jakiej takiej kulturze.

Wówczas to nie tylko już energia uległa zniszczeniu, — znikło i poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, ledwie dających się zmierzyć rozmarzonymi oczyma, został widnokrąg tak dalece mały, że można go było zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie „prawdy jasnego promienia i nowych, nieodkrytych dróg" zapatrywał się w początkach umierania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie — z ostrożnością człowieka, mającego pewien zasób doświadczenia, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z półuśmiechem, potem ze zdecydowanem lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu najzupełniej wszystko jedno. Leczył według wskazówek rutyny, praktykę jaką taką wyrobić sobie zdołał, przywykł jakoś do Obrzydłówka, do samotności, do nudy nawet, do prosiąt pieczonych i nie kwapił się bynajmniej do ogniska życia umysłowego.

Zasadą, do której, niby do wspólnego mianownika, sprowadzały się czyny i myśli doktora Obareckiego, stała się ta: — dawajcie pieniądze i wynoście się...

A jednak w chwili, gdy siedział po powrocie z imienin księdza proboszcza, zajęty bębnieniem palcami na stole, „metafizyka" opanowywała go z dawną siłą. Już podczas jakiejś szesnastej godziny wintowej doktór czuł się niedobrze. Wywoływał to aptekarz znowu, który zaczął ni z tego ni z owego studyować historyę powszechną Cezara Cantu (w przekładzie Leona Rogalskiego) i, wyrobiwszy w sobie bardzo radykalny pogląd na działalność Aleksandra VI-go, w bezwyznaniowość jakoby popadł.

Doktór Obarecki wiedział aż nadto dobrze, dlaczego farmaceuta dysputami destrukcyjnemi rozbestwia księdza proboszcza; przeczuwał, że są to preludya do zbliżenia się, zaprzyjaźnienia na mocy jedności poglądów... Przeczuwał, że odwiedzi go kiedykolwiek, będzie, z daleka zachodząc, wskazywał umiejętnie na brak kapitału, źródło „stagnacyi", a zniżywszy loty do spraw obrzydłowskich, wykaże, ileby oni dwaj, trzymając się za ręce, korzyści społeczeństwu przynieśli: jeden pisaniem recept na łokcie, drugi eksploatowaniem sytuacyi... Kto wie — może zaproponuje szczerze i otwarcie, „nóżki kładąc na stół", założenie czysto wekslowej spółki, której celem będzie wspólne maszerowanie w tonie gnojówki. Przeczuwał także doktór, że nie będzie miał siły do zakończenia propozycyi aptekarzowych nakręcaniem mu z lekka kości policzkowej, ponieważ nie wiedzieć w imię czego kość tę nakręcać... Przypuszczał nawet, że spółka ta stanie, — któż wie... Gorycz zalała mu serce. Co się stało, jakim sposobem aż dotąd zaszedł, dlaczego nie wyrywa się z tego błota, czemu jest leniuchem, marzycielem, refleksyonistą, psowaczem własnych myśli, karykaturą wstrętną samego siebie?...

I zaczęło się, podczas wpatrywania się w okno, nadzwyczajne szczegółowe, pilne, badawcze, bezlitosne i subtelne oglądanie własnej bezsilności. Śnieg padał wielkimi płatkami, przesłaniając smutny krajobraz zimowy mgłą i zmrokiem.

Chimeryczną a bezpłodną gonitwę myśli przerwały nagle wykrzykniki gospodyni, usiłującej przekonać kogoś, że doktora w domu niema. Doktór jednak wyszedł do kuchni, aby rozerwać pasmo męczących go myśli.

Ogromny chłop w żółtym kożuchu zmiótł „wściekłą czapką" pył z pod jego nóg w głębokim pokłonie, odgarnął pięścią włosy z czoła, wyprostował się i zamierzał rozpocząć oracyę.

— Czego? — zapytał doktór.

— A to, wielmożny doktorze, sołtys mię tu przysłał...
— Po co?
— A po wielmożnego doktora.
— Kto chory?
— Nauczycielka ta u nas w wsi zachorzała, sparło ją cosi. Pryzszedł sołtys... jedźcie, pada, Ignacy, do Obrzydłówki po wielmożnego doktora, może, pada...
— Pojadę. Konie dobre?
— A konie ta, jak konie: śwarne gady.
Podobała się doktorowi myśl jazdy, zmęczenia się, choćby nawet niebezpieczeństwa. Wdział z nagłem ożywieniem grube buty, kożuszek, futro, którem możnaby było otulić wiatrak, pasem się opasał i wyszedł przed dom. „Gady" chłopskie niewielkie były, ale okrągłe, wypasione, — wasąg olbrzymi na saniach, słomą wyładowany i okryty kilimkiem. Zanurzył się w słomę, otulił, — chłop przysiadł bokiem na przednim siedzeniu, odmotał parciane lejce z kłonicy, konie zaciął. Pomknęli.
— Daleko to? — zagadnął doktor.
— Będzie ta może ze trzy mile, może niema.
— Nie zbłądzisz?
Chłop obejrzał się z uśmiechem ironicznym:
— Któż... ja?
Wiatr dął w polu przejmujący; niekute, ukośne, ledwo ociosane siekierą sanie wrzynały się w głęboki, świeżo spadły śnieg, odwracając na bok białe jego skiby. Drogę zaniosło.
Chłop „wściekłą czapę" na bok przechylił i zaciął konie. Doktór czuł się dobrze. Minąwszy lasek, który zdawał się tonąć w śniegu, wyjechali na pusty, bezludny przestwór, oprawny w ramy lasu, ledwie widzianego na krańcu widnokręgu. Zmrok zapadał, powlekając ten nagi i surowy obraz pustkowia niebieskawym kolorytem, który ciemniał nad lasem. Grudki zbitego śniegu, wyrzucane kopytami koni, przelatywały koło uszu doktora. Nie wiedzieć czemu chciało mu się stanąć na saniach i wołać po chłopsku, z całych sił, w ten głuchy, niemy, nieskończony przestwór, urzekający orgomem, jak przepaść. Nachylała się szybko noc dzika i ponura, noc pól niezamieszkanych.
Wiatr się wzmógł, dął jednostajnie z hukiem, przechodzącym od czasu do czasu w głuche *largo*; śnieg zacinał z boku.
— Strzeżcie drogi, gospodarzu, bo może być źle — zauważył doktór, kryjąc nos w furto.
— A no, maluśkie! — wrzasnął chłop na konie, zamiast odpowiedzi.
Głos ten ledwo już można było dosłyszeć w wichrze. Konie biegły w cwał.
Zamieć rozszalała się nagle. Bałwanami miotać się począł wicher, uderzał w sanie, skowyczał między sanicami, tłumił oddech. Słychać było parskanie koni, lecz ani ich, ani furmana doktór nie mógł dostrzedz. Kłęby śniegu, zdzierane z ziemi przez wiatr leciały, jak stado koni, i słychać było niby tętent ich tytanicznych skoków; chwilami wydzierało się z ziemi piekło huku i szła ta melodya uderzać wszystką potęgą tonów w chmury, łamać je i upadać nagle z łoskotem. Wtedy prozpryskiwało się w puch posłanie śniegowe i otaczało podróżnych naszych wirującymi słupami. Wydawało się, że jakieś potwory zataczają w szalonym tańcu olbrzymie koła, że doganiają z tyłu, zabiegają z przodu, z boku i sypią po szczypcie śniegu na sanie. Gdzieś ,najwyżej,

w zenicie uderzał niby wielki, rozkołysany dzwon przeciągle, głucho, jednostajnie.

Doktór poczuł, że nie jadą już po drodze; sanie posuwały się zwolna, uderzając końcami sanic o grzbiety zagonów.

— Gospodarzu! — zawołał z trwogą — a gdzie my jedziemy?

— Jadę polem do lasu — odpowiedział chłop — w lesie ciszej będzie... pod samą wieś lasem zajedziemy...

Rzeczywiście wiatr wkrótce ucichł, i dawał się słyszeć tylko huk podniebny i trzask łamiących się gałęzi. Na czarnem tle nocy majaczyły osypane śniegiem drzewa. Prędzej jechać nie można było, drożyna bowiem leśna, zawalona zaspami, przeciskała się śród pniaków i gałęzi. Nareszcie po upływie jakiejś godziny, podczas której doktór szczerze namartwił się i naobawiał, dały się słyszeć powtarzające się głuche odgłosy: — psy szczekały.

— Nasza wieś, wielmożny panie...

Zamigotały światełka w oddali, podobne do chwiejących się w różne strony punkcików, dym zapachniał.

— Nuże, małe! — zawołał wesoło na konie woźnica, rozgrzewając się za pomocą obijania boków pięściami.

Za chwilę mijali pędem szereg chat, do strzech zasypanych śniegiem. Na tle szyb zamarzniętych okien, od których padały na drogę kręgi światła, rysowały się cienie głów.

— Wieczerzę ludzie jedzą... — bez żadnej potrzeby zauważył chłop, przypominając doktorowi czas „wieczerzy", której spożywać dnia tego nie miał nadziei.

Zatrzymały się konie przed jakimś domostwem; chłop wprowadził doktora Pawła do sieni i znikł. Namacawszy klamkę, doktór wszedł do małej nędznej izby, oświetlonej kagankiem naftowym.

Zgrzybiała i zagrbiona, jak rączka od parasola, kobiecina zerwała się, ujrzawszy go, z łóżka, poprawiła chustkę na głowie i jęła mrugać powiekami a wytrzeszczać czerwone oczy ze źle tajonem przerażeniem.

— Gdzie chora? — spytał. — Samowar macie?

Stara w przerażeniu swem do słowa przyjść nie mogła.

— Samowar macie, herbaty możecie mi zrobić?

— Jest ten ta samowar... jeno cukru...

— Masz tobie! cukru niema?

— A niema... chybaby Walkowa mieli, bo to panienka...

— Gdzie ta wasza panienka?

— A dy w stancyi nieboga leży.

— Dawno chora?

— Pokłada się to ta już ze dwie niedziele, a teraz ani ręką, ani nogą. Ścisnęło i pokój.

Uchylił drzwi do izby sąsiedniej.

— Zaraz! ogrzać się muszę, — zawołał gniewnie doktor, zdejmując futro.

Ogrzać się w tej norze nie było trudno: z pieca rozchodziło się takie gorąca, że doktór co prędzej wsunął się do pokoju „panienki". Małą tę i nadzwyczajnie ubogą izdebkę oświetlała lampa przyćmiona, stojąca na stole obok wezgłowia chorej. Rysów twarzy nauczycielki nie można było rozeznać, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi. Doktór zbliżył się ostrożnie, lampę rozświetlił, usunął książkę i przyglądać się zaczął pacyentce. Była to młoda dziewczyna, pogrążona we śnie gorączkowym. Szkarłatem była powleczona jej twarz, szyja, ręce, — na tle tem znać było jakąś wysypkę. Jasno- -popielate, niezmiernie bujne włosy leżały poplą-

tane pasmami na poduszce, wiły się na twarzy. Ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały kołdrę.

Doktor Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło przerażenie.

— Panno Stanisławo, panno Stanisławo, panno Stanisławo...

Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła powieki, lecz zamknęła je natychmiast. Przyciągała się, przesuwała głowę od jednego końca poduszki do drugiego i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta z wysiłkiem, jak karp, połykając powietrze.

Doktor powiódł oczami po nagich, wapnem wybielonych ścianach izby, dostrzegł okno, źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej, stosy książek, leżące wszędzie: na ziemi, na stoliku, na szafce..

— Ach ty, szalona ty głupia! — szeptał, załamując ręce.

Gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącemi rękami temperaturę.

— Tyfus... — wyszeptał, blednąc.

Z wściekłością ściskał sobie gardło, w którem dławiły go, niby zwitki pakuł, łzy niezdolne wypłynąć. Widział, że jej nic nie pomoże, nic nie może pomóc, — roześmiał się nagle, wspomniawszy, że po taką chininę lub antypirynę trzeba posyłać do Obrzydłówka... trzy mile. Panna Stanisława otwierała od czasu do czasu oczy szklanne, bezmyślne, podobne do zastygłego pod powiekami płynu, i patrzyła, nic nie widząc, przez długie, koliste rzęsy. Wołał na nią najczulszemi nazwami, unosił jej głowę, słabo trzymającą się na szyi — nadarmo.

Usiadł bezwładnie na stołku i wpatrywał się w płomień lampy. Oto nieszczęście, jak wróg śmiertelny, zadało mu ślepy cios i wlecze teraz bezsilnego do jakiejś mrocznej pieczary, do jakiejś szczeliny bez dna...

— Co począć? — szeptał, drżąc.

Przez szpary okna wdzierał się chłód burzy zimowej i przechodził przez izbę, jak widmo złowieszcze. Zdawało się doktorowi, że go ktoś dotyka, że, prócz niego i chorej, jest w izbie ktoś trzeci...

Wyszedł do kuchenki i zakrzyknął na służącą, aby mu wołała natychmiast sołtysa.

Stara wdziała co tchu olbrzymie buty, okryła głowę „zapaską" i, zabawnie podskakując, znikła. Wkrótce potem zjawił się sołtys.

— Słuchajcie, nie znajdziecie mi człowieka, któryby pojechał do Obrzydłówka?

— Teraz, panie doktorze, nie pojedzie... zawieja. Na śmierć pojedzie... Psa ciężko wygnać.

— Ja zapłacę, wynagrodzę.

— Nie wiem ja... przepytam się.

Wyszedł. Doktór Paweł ściskał skronie, które zdawał się rozsadzać napływ krwi. Przysiadł na skrzynce i o czemś dawnem, dalekiem myślał.

Dały się wkrótce słyszeć kroki: sołtys prowadził parobczaka w kożuszynie przedartej, nie dosięgającej mu do kolan, w zgrzebnych spodniach, kiepskich butach i czerwonym szaliku na szyi.

— Ten? — zapytał doktor.

— Powiada, że pojedzie... śmiałek. Ja konia mogę dać, ale gdzież to w taki czas...

— Słuchaj, jeżeli wrócisz za sześć godzin, dostaniesz ode mnie

dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz... co chcesz... słyszysz?

Chłopczyna popatrzył na doktora, — miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Utarł nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktór powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, darł papier. Wystosował list do aptekarza, prosząc, aby natychmiast wysłał konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wysłanie mu chininy; nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni i wręczył list chłopakowi.

— Mój bracie — mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim — co koń skoczy, co tchu... Słyszysz, mój bracie!...

Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysem.

— Ta nauczycielka dawno tu u was we wsi siedzi?... — zagadnął doktór Paweł babinę, przytuloną do komina.

— Trzy zimy!... jakoś bodaj.

— Trzy zimy. Nikt tu z nią nie mieszkał?

— A któż ta miał... ja jeno. Przygarnęło mię chudziątko... służby, powiada, już nie znajdziecie, babko, a u mnie ta roboty niewiele, aby ta, aby... Teraz masz: com sobie obiecowała, że mi trumnę sprawi, to ja... módl się za nami grzesznemi...

Zaczęła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami, jak wielbląd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczkami wlewały się łzy do ust bezzębnych.

— Dobra była...

„Babka" zaczęła chlipać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła od siebie doktora odegnać. Wszedł do pokoju i zaczął na palcach chodzić po swojemu, dokoła... chodził, chodził... Zatrzymywał się od czasu do czasu przy łóżku i z gniewem, od którego bielały mu wargi i wyszczerzyły się zęby, mówił do chorej:

— Niemądra byłaś! Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegoś jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idyoci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpierwszą, boś za piękna, zbyt ukochana...

Jak płomień suche drewno, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie; zjawiało się porywające, jak niegdyś, i zabójczo słodkie. Wmawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomniał, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał się twarzy znajomej z jakąś nienasyconą ciekawością i cichy, przeszywający byl wjadał mu się w serce. Trzy lata tu mieszkała obok niego, — dowiaduje się o tem, gdy mu umiera...

Wszystko, co go spotykało tego dnia, wydawało mu się, jako dalszy ciąg udręczeń przymusowo-borsucznego istnienia. Jednocześnie rozchylał się jakiś tajemniczy horyzont, jakiś ocean, ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek, ściskały zimne dreszcze. Miotał się, jak śliz, na błotnistem dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...

To też całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie przed nieznośną rzeczywistością, zatonął, jak w obłoku mgły czerwcowego przedświtu.

Za jakąbądź cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...

Z pokoju nauczycielki wszedł przez małe drzwiczki do dużej izby, zastawionej ławkami i stolikami. Tam usiadł w ciemności i,

niby skupiając ducha, niby obmyślając środki ratunku, zaczął wspominać. Oto, co sobie przypomniał.

Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do szpitala, tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przynajmniej widzieli, iż dziury w podeszwach tekturą umiejętnie są pozatykane. Paltocik ma ciasny, jak kaftan waryata, wytarty tak dalece, że Żyd letnią porą ośmiu zań złotych dać nie chciał. Bieda nastraja go pesymistycznie, wtrąca w jakiś stan ciągłego smutku, który jest czemś nieskończenie większem, niż nuda przykra, lecz daleko mniejszem, niż cierpienie. Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befsztyk, — lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie. Biegnie niemal po brunatnem błocie z ulicy Długiej, aby o trzy kwadranse na dziewiątą wchodzić w bramę ogrodu Saskiego. Tam spotka panienkę, przejdzie obok niej, przyjrzy się ciężkiemu, długiemu, jasno-popielatemu jej warkoczowi... Ona nie podniesie oczu, zmarszczy brwi, podobne do prostych a wązkich skrzydeł jakiegoś ptaka.

Spotykał ją wówczas w tem samem miejscu codziennie. Szła szybko na Krakowskie Przedmieście, wsiadała do tramwaju i jechała na Pragę. Nie miała więcej nad siedemnaście lat, a wyglądała, jak stare pannisko, w baszłyku, zarzuconym niedbale na futrzaną czapkę, w kaloszach, za dużych trochę na jej małe nogi, w niezgrabnej i niemodnej salopce. Niosła zawsze pod pachą jakieś kajety, arkusze zapisane, książki, mapy. Raz jeden, czując się w posiadaniu kilku dziesiątek, przeznaczonych na obiad, postanowił zbadać, dokąd ona jeździ. Puścił się wtedy w pogoń, wsiadł do tego samego, dziesięciogroszowego przedziału, lecz zaraz po zajęciu miejsca stracił całą odwagę. Nieznajoma zmierzyła go wzrokiem tak okropnej pogardy, że niezwłocznie wyskoczył z tramwaju, tracąc tym sposobem wazkę rosołu i nic nie wskórawszy.

Nie czuł jednak do niej żalu, — tem wyżej, dalej się wzniosła. Myślał o niej pomimo woli, bezwiednie, bez przerwy. W ciągu całych godzin usiłował przypomnieć sobie, uprzytomnić jej włosy, oczy, usta o kolorze owocu dzikiej róży — i wysilał pamięć nadaremnie.

Zaledwie mu znikła z oczu, znikały z pamięci jej rysy, — zostawało natomiast natrętne widmo, podobne do białego obłoku o niejasnych rysach, które szło przed nim gdzieś górą. Obłok ten goniły jego myśli z tęsknotą i pokorną bojaźnią, z odrobiną nieuchwytnego żalu, ze smutkiem i nieodegnaną sympatyą. Szedł co rano, aby żywą dziewczynkę ze swem widmem porównywać. I wydawała mu się ta żywa piękniejszą, napawały go jakimś strachem jej kryniczne i mądre oczy...

Podówczas jeden z jego kolegów, tak zwany „Ruch w przestrzeni", wielki „społecznik", zaczynający wiecznie pisać wstępne artykuły, których dokończyć nie pozwalał mu brak potrzebnych po temu książek, nagle i niespodziewanie „wziął" i ożenił się z ubogą, jak mysz kościelna, emancypantką.

Żona wniosła „Ruchowi" w posagu stary dywan, dwa rondelki, gipsowy posąg Mickiewicza i kilkanaście nagród gimnazyalnych. Młodzi małżonkowie zamieszkali na czwartem piętrze i zaczęli zaraz po ślubie głodem przymierać. Udzielali oboje korepetycyi z takim zapałem, że, rozbiegłszy się rano, spotykali się dopiero wieczorem. Dom ich jednak stał się punktem, do którego zmierzał wieczorem każdy „społecznik" w zabłoconych sandałach,

aby się wysiedzieć na fotelu, napalić cudzych papierosów, nagadać do ochrypnięcia i wydać ostatnie kilka groszy na składkę, za które uprzejma gospodyni kupowała bułki i serdelki, układała artystycznie na talerzyku i częstowała gościnnie. Można się tam było zawsze z kimś spotkać, zaznajomić z nieznanymi do owej pory wielkimi ludźmi, z koleżanką gospodyni, a niejednorotnie można było nawet pożyczyć czterdzieści groszy. Jakże pobladł Obarecki z radości, gdy, wchodząc pewnego wieczora do tak zwanego salonu, ujrzał ukochaną swoją panienkę w gronie koleżanek! Rozmawiał z nią i aż do nieprzyzwoitości tracił przytomność... Wracając tego wieczora do domu, pragnął być sam — nie marzyć, ani myśleć, tylko być z nią całą duszą, wszystką ją mieć w oczach, w uszach mieć dźwięk jej głosu, tak myśleć, jak ona, zamknąć powieki i niechaj idą pod nimi te obrazy, które wydzierają się z serca. Pamiętał jej oczy przedziwne, posępne a miłosierne, łagodne i tajemniczo myślące, w których przerażała jakaś głębia. Doznawał uczucia radości i spokoju, jakby po skwarnej i dręczącej podróży doszedł do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej.

Otaczano je szacunkiem, przywiązywano szczególną wagę do jej słów. „Ruch", przedstawiając Obareckiego nieznajomej, wydeklamował poważnie:

— Obarecki, refleksyonista, marzyciel, wielki leniuch, zresztą przyszła sława; panna Stanisława Bozowska, nasza „darwinistka"...

„Wielki leniuch" dowiedział się o „darwinistce" niewiele: ukończyła gimnazyum, dawała lekcye, miała zamiar jechać do Zurychu czy Paryża na medycynę, nie miała grosza przy duszy...

Spotykali się odtąd w „salonie" często. Panna Stanisława przynosiła pod salopką funt cukru, jakiś zimny kotlet w papierze, kilka bułek; Obarecki nic nie przynosił, ponieważ nic nie miał, pożerał za to bułki, pożerał oczami „darwinistkę". Raz nawet, odprowadzając ukochaną do domu, oświadczył się o jej rękę. Roześmiała się serdecznie i pożegnała go przyjacielskim uściśnieniem ręki. Wkrótce potem znikła; wyjechała do gubernii podolskiej, jako nauczycielka, do jakiegoś wielkopańskiego „domu".

Spotyka ją teraz oto w tym zapadłym kącie, w tej wsi, ukrytej w lasach, zamieszkanej przez chłopów samych, gdzie niema dworu, gdzie niema żywego ducha... Sama tu żyła w tej puszczy. Teraz umiera.... zapomniana...

Wszystkie dawne zachwyty, niespełnione sny i pragnienia zrywają się nagle i biją w niego, jak poryw wichru. Serce ściska mu ból chorobliwy i jad namiętności wsącza się nieznacznie w krew wzburzoną. Powrócił na palcach do łóżka chorej, oparł łokcie na jego poręczy i nasycał się widokiem nagich ramion, które cudownemi liniami kojarzyły się z zarysem piersi i szyi. Panienka spała. Na skroniach jej nabrzmiały żyły, z zagiętych ku dołowi kątów ust sączyła się ślina, gorąco od niej biło, powietrze wpadało do ust z głośnym świstem. Doktór Paweł usiadł obok niej na krawędzi łóżka, pieścił rękami miękkie końce promieni włosów, głaskał się niemi po twarzy, dotykał ich wargami z wydzierającem się z piersi szlochaniem.

— Stasiu, Stachno... kochanko... — szeptał cicho, aby jej nie obudzić — nie ucieczesz mi już... prawda? nigdy... moją będziesz na zawsze... słyszysz... na wieki...

Usiadł potem u wezgłowia chorej na stołku i zapadł znowu w marzenia. Bujna młodość zbudziła się w nim z letargu. Wszyst-

ko teraz będzie inaczej. Czuje w sobie siłę atlety do pełnienia uczynków, które z serca płyną. Boleść i nadzieja mieszają się jakby w płomień, kiedy liże mózg, trawi go, nie da mu spocząć.

Noc mijała. Godziny upływały leniwo, lecz upłynęło ich już od wyjazdu posłańca więcej niż sześć. Była czwarta po północy. Doktór zaczął nasłuchiwać, zrywać się za każdym szelestem. Co chwila zdawało mu się, że ktoś idzie, że otwiera drzwi, że stuka w okno... Wsłuchiwał się całym niemal organizmem. Wiatr huczał, szyber w piecu kołatał — zresztą cisza znowu. I biegną minuty, trwające po sto lat, w ciągu których niecierpliwość rozpręża nerwy i wprawia go w stan dygotania całem ciałem.

Gdy po raz szósty mierzył temperaturę, chora otwarła zwolna oczy, które w zmroku rzęs wydawały się prawie czarnemi, patrzyła w niego z uporem i wyszeptała z jakimś skrzeczącym głosem:

— Kto to?

Zapadła jednak zaraz w stan poprzedniego bezczucia. Pocieszał się, jak skarbem, tą sekundą świadomości. Ach, gdyby mieć chininę, zmniejszyć jej ból głowy, powrócić przytomność! Posłaniec nie nadjeżdżał i nie nadjechał.

Przed świtem doktór Obarecki szedł wzdłuż wsi, po głębokich zaspach, łudząc się ostatnią nadzieją, że go zobaczy. Złe przeczucie, jak koniuszek igły, wrzynało mu się w serce. W nagich gałęziach topoli przydrożnych głucho huczał wiatr, choć burza ucichła. Z chat wychodziły kobiety po wodę i dźwigały ją w konewkach, zagięte powyżej kolan. Parobcy ,,zadawali" bydłu, z kominów dym się wznosił. Tu i owdzie z otwartych na chwilę drzwi wybuchał obłok pary.

Doktór odnalazł chatę sołtysa i kazał natychmiast zaprzęgać konie. Sprzężono ich dwie pary i pakiś parobek zajechał przed szkołę. Doktór pożegnał chorą oczami, rozszerzonemi od znużenia i rozpaczy, wsiadł na sanie i pojechał do Obrzydłówka.

O godzinie dwunastej powracał, wioząc swą apteczkę, wino, całe zapasy żywności. Stawał co chwila w saniach, jakby pragnął wyskoczyć i wyścignąć konie, w cwał biegnące. Zajechał wreszcie przed szkołę, lecz nie wysiadł... Zdławiony, krótki wrzask wydarł mu się z ust, wykrzywionych prawie ukośnie, gdy ujrzał otwarte okna domostwa i gromadkę dzieci, tłoczącą się w sieni. Szedł blady, jak płótno, do okna, zajrzał i został tam, łokciami oparty o futrynę.

W obszernej izbie szkolnej leżał na ławce rozebrany do naga trup młodej nauczycielki; dwie jakieś stare baby myły go... Drobne pyłki śniegowe wlatywały przez okno i osiadały na ramionach, na zmoczonych włosach, na półotwartych oczach umarłej.

Doktór poszedł do pokoiku nieboszczki, zgarbiony, jakby na ramionach dźwigał górę. Usiadł, nie rozbierając się, na krzesełku i powtarzał jeden wyraz, w którym zmieściła się wszystka jego boleść :

— Czyż tak ? czyż tak ?

Było mu zimno, jakby zmarzł, zmartwiał, jakby w nim krew zakrzepła. Nie cierpi ł, nie wiedział, co mu jest, tylko po głowie toczyły mu się niby koła nie nasmarowane z przeraźliwem skrzypieniem.

Łóżko Stasi było rozmiecone: kołdra leżała na ziemi, prześcieradło zwieszało na podłogę, poduszka przepocona leżała na środku łóżka. Druciane haczyki okien stukały monotonnie o ramy szyb;

listki jakiejś rośliny, moknące w doniczce, zwieszały się i zwijały od mrozu.

Przez uchylone drzwi widział chłopów, klękających dokoła ubranego już trupa, dzieci, modlące się na ,,książce", stolarza zdejmującego miarę na trumnę...

Wszedł tam i ochrypłym głosem rozkazał, aby zbić trumnę z czterech desek nieheblowanych, wiorów pod głowę nasłać.

— Nic więcej... słyszysz?... — mówił do stolarza z tajoną wściekłością — cztery deski, nic więcej...

Przypomniał sobie, że trzeba kogoś zawiadomić... rodzinę. Gdzież jest ta jej rodzina?...

Zaczął z tępą, idyotyczną zapobiegliwością układać na jeden stos książki, rejestry szkolne, kajety, jakieś rękopisy. Natrafił wśród papierów na początek listu.

,,Kochana Helenko! Od kilku dni czuję się tak źle, że prawdopodobnie przeniosę się przed oblicze Minosa i Radamantesa, Eakosa i Tryptolemosa, oraz innych wielu z półbogów, którzy i t. d. W razie tego ,,przesiedlenia się stąd na miejsce inne" zechciej zażądać od wójta mojej gminy, aby pozostałą po mnie spuściznę książkową na twoje ręce wysłał. Opracowałam nareszcie ,,Fizykę dla ludu", nad którą tyle nałamałyśmy sobie głów dziewiczych: opracowałam na brudno — niestety! Jeżeli ci czasu starczy, zawsze w razie mego przesiedlenia się na miejsce inne, — uszykuj to do druku i zmuś Antosia, niech przepisze; on to dla mnie zrobi. Ach, co za smutek!... Prawda!... księgarzowi naszemu winnam jedenaście rubli kopiejek sześćdziesiąt pięć... wypłać mu... Spencerem moim, gdyż pustki u mnie w szkatule. Sobie na pamiątkę weź..."

Ostatnie wyrazy nieczytelnemi już były pisane kreskami. Nie było adresu, nie można też było listu wysłać. W szufladzie stolika znalazł doktór rękopis owej ,,Fizyki", o którym w liście czytał, zwitki notatek i szpargałów, w szafce — trochę bielizny, salopkę, kotkami podbitą, jakąś starą czarną sukienkę...

Krzątając się po pokoiku, dostrzegł w izbie szkolnej chłopaka, który jeździł po lekarstwo; stał przytulony w kącie pieca, przestępując z nogi na nogę. Zwierzęca nienawiść zadrgała w duszy doktora.

— Dlaczegoś na czas nie wrócił? — zawołał, przyskakując do chłopca.

— Zbłądziłem na polu, koń mi ustał... piechotą przyszedłem rano... panienka już wtedy...

— Kłamiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał mu doktór w oczy i dziwnego doznał wrażenia: oczy te były zmęczone i straszne, wyglądała z nich, jak z podziemnej jaskini, chłopska głupia, zdziczała rozpacz, podobna do niedocieczonej tajemnicy.

— Ja tu, panie, odniosłem książki, co mi ta nauczycielka pożyczyła, — mówił, wyciągając z zanadrza kilka wyszarzałych i zabrudzonych tomików.

— Daj ty mi pokój... idź precz! — zawołał doktór, odwracając się od niego i uciekając do pokoiku.

Tam stanął wśród rozrzuconych na podłodze rupieci, papierów, książek i ze śmiechem pytał sam siebie:

— Czego ja tu chcę?... Nic tu po mnie, nie mam prawa!

Obejmowała go cześć głęboka, zrozumienie, wwiadywanie się pilne, wielka pokora. Gdyby tam zostawał choćby godzinę dłużej, doszedłby do tego szczytu łańcucha gór, na którym siedzi sza-

leństwo. W sekrecie przed samym sobą wiedział, że go zdejmuje obawa o siebie. W tem wszystkiem, co go miażdżyło w owej chwili. była ogromna niesymetrya z nim samym, coś, co wyważało z głębi jego duszy ostateczny rdzeń uczuć ludzkich — egoizm i, egoizm ten dusząc, kazało naprawdę dać się otaczać tęczy, która uniosła z ziemi tę głupią dziewczynę. Trzeba uciekać co prędzej... Zgodziwszy się na wyjazd natychmiastowy, zaczął rozpaczać pięknymi frazesami, co było już ulgą znaczną.

Kazał odjechać...

Pochylił się nad trupem Stasi i szeptał na jej uczczenie najpiękniejsze wyrazy, jakie wymarzyć mogły na chwałę wielkości puste serca ludzkie. Zatrzymał się raz jeszcze we drzwiach, obejrzał; przez sekundę myślał, czy nie lepiejby było umrzeć natychmiast, potem rozsunął gromadę chłopów przed drzwiami, wskoczył na sanie, przewrócił się na twarz i poniosły go konie, duszącego się spazmatycznym płaczem.

Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ niejaki na usposobienie doktora Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach „Boską komedyę" Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodynię dwudziestoczteroletnią odprawił. Stopniowo jednak uspokoił się. Obecnie ma się znakomicie; utył, pieniędzy worek uczciwy nazbijał. Ożywił się nawet; dzięki jego usilnej agitacyj wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy, z wyjątkiem krzykliwych, prawda, ale też nielicznch konserwatystów, zaczęli palić papierosy w gilzach niesklejanych, zaszczytnie znanych pod godłem „nieszkodliwych piersiom". Nareszcie!...

BOLESŁAW PRUS

CO TO JEST BLAGA?

Było już około 10-ej wieczorem. Poważny pan Ezechiel kilkakrotnie spojrzał na zegarek, szpakowata pani Weronika kończyła robotę włóczkowej chusteczki, a pulchna mężatka, pani Balbina, bez ceremonii ziewała. Tak widoczne oznaki nudów zdolne były zakłopotać najmniej uprzejmego gospodarza; to też nie dziw, że znani z gościnności państwo Sylwestrowie wili się jak dwie muchy w ukropie, zapewne rozmyślając nad sposobami ubawienia swoich gości.

Nagle, w chwili gdy brwi zmartwionego pana Sylwestra dosięgły najwyższego położenia na czole, a koralowe usteczka pani Balbiny robiły się coraz podobniejsze do bramy zajezdnego domu, jedno pytanie rzucone jak bomba przez eleganckiego Fabiana, spłoszyło anioła ciszy:

— Bardzo byłbym wdzięczny — mówił Fabian — temu, ktoby mi dokładnie objaśnił, co znaczy tak powszecnie dziś używany wyraz blaga?...

— Nic łatwiejszego — mruknął poważnie Ezechiel.

— Najzupełniej zgadzam się z panem! — potwierdził gościnny Sylwester.

— A... ach!... — ziewnęła ponętna Balbina.

— Dobranoc państwu!... — szepnęła Mania, córeczka państwa Sylwestrów, rozkoszny 14-letni cherubinek, który miał wielką ochotę posłuchać objaśnienia wyrazu: blaga, lecz na dany przez troskliwą mamę znak, musiał opuścić rozbudzone towarzystwo i odejść do swego pokoju.

— Owe wyprzedaże zupełne, pożyczki premiowe, koncerty dobroczynne, — mówił pan Ezechiel — owe wyrzekania na ucisk klas ubogich przez kapitalistów, wszystko to blaga!...

— Mój panie, — odezwała się pani Weronika — po co mamy tak daleko szukać, kiedy w najbliższych znajomych nam kółkach jest tyle blagi, że ta wystarczy do doskonałego objaśnienia wyrazu...

— No, żegnam państwa! — przerwała pani Balbina, nie mająca zwyczaju robić sobie z nikim ceremonii. — Uważam, że pani Weronika znalazła już swój ulubiony temat, nie chcę więc jej przeszkadzać.

— Ależ pani!... Ależ droga pani!... — zawołali jednocześnie gościnni państwo Sylwestrowie, zrywając się z krzeseł, zapewne dla zatrzymania tak przyjemnej osoby

— Słowo daję, że nie mogę czekać dłużej... Mąż będzie niespokojny, a przytem głowa trochę mnie boli — tłómaczyła się pani Balbina, całując damy i łaskawie podając rączki mężczyznom.

— Może pani dobrodziejka pozwoli sobie służyć? — spytał szanowny Ezechiel.

— O dziękuję! bardzo dziękuję! mam tylko parę kroków do domu. Adieu!...

I w kilkanaście sekund znikła.

— Zawsze do męża i zawsze przy mężu!... co za doskonała kobieta! — zaczął gospodarz z dwuznacznym uśmiechem.

— Ach, Boże! — zawołała z gniewem pani Weronika. — Oto jest dopiero przykład blagi... Niby to kocha męża, a ma tuziny kochanków...

— Jest na pozór bardzo rozsądna i taktowna, a przecież robi szalone wydatki i zaciąga długi — dodał Ezechiel.

— Tak, istotnie... — pochwycił miły Fabian. — Pani Balbina bardzo szczęśliwie przyczyniła się do objaśnienia rzuconej kwestyi!... Lecz o Boże! — zawołał nagle — jest już kwadrans po 10-ej, a ja mam odwieźć z teatru moją siostrę, panią baronową X., pozwolicie więc państwo, że pożegnam...

— Jaka szkoda! — westchnęła Weronika.

— Nie godzi się, panie Fabianie, przerywać rozmowy, której pan jesteś duszą — rzekła z najsłodszym uśmiechem gospodyni.

— No, trudno!... Jeżeli pan Fabian ma odprowadzić panią baronową, to nie powinniśmy go zatrzymywać — zakonkludował gospodarz.

Gdy po czułem pożegnaniu gość zniknął, pan Ezechiel rzekł z bardzo uroczystą miną:

— Nie rozumiem, dalibóg! jakiem czołem ten młodzieniec dopytuje się o znaczenie wyrazu blaga, będąc sam tak doskonałym blagierem!...

— Jaki pan Ezechiel złośliwy! — szepnęła pani domu.

— To nie złośliwość, moje dziecko, — wtrącił gospodarz, — lecz sprawiedliwość. Nikt istotnie nie dorównał panu Fabianowi w sztuce udawania, a i teraz nawet nie jestem pewny, czy zamiast do siostry nie poszedł... no, gdzieindziej.

— Naprzykład z panią Balbiną! — odezwała się Weronika.

— Ależ droga pani!... — protestuje gospodyni domu.

— Mniejsza już o panią Balbinę, — mówi Ezechiel — bo swoja drogą i bez niej Fabianek jest blagierem. Ja sam znam parę wypadków, w których, doprawdy, chłopiec ten przeszedł samego siebie...

— Ta... ta jego pycha arystokratyczna jest pierwszą blagą — przerwała Weronika. — Wiadomo przecież, że ojciec jego był lokajem...

— Lokajem?... A cóż znaczy siostra baronowa?

— Znaczy to, że wyszła za fabrykowanego barona, który przed kilkunastu laty trzodą handlował

— Ależ majątek samego Fabiana?....

— Gdzie on ma majątek! — odzywa się pan Ezechiel. — Pieczeniarzuje prz ywielkich panach, pożycza niby to dla nich pieniądze u lichwiarzy, a przy tej sposobności i o sobie nie zapomina. Oto wszystko!

— Bójcie się państwo Boga, czy to być może?! — pyta bolejącym głosem pani Sylwestrowa. — Zdawał się taki przyzwoity chłopiec!...

— Droga Klociu! — upomina ją mąż — droga Klociu, nie dziwże się tak znowu gwałtownie, bo ci nieraz opowiadałem o Fabianie...

— Ależ kochany Ksawciu!...

— Ależ kochana Klociu!...

Zapalającą się kłótnię małżeńską przerwał nagle dźwięk dzwonka, gdy zaś gospodarz otworzył drzwi wchodowe, zebrani ujrzeli w przedpokoju służącego pana Ezechiela.

— Co cię stało? — zawołał pan Sylwester ze źle udawanem zdziwieniem.

— A bo proszę pana, jakiś pan był u nas trzy razy i powiedział, że się chce gwałtem z panem widzieć jeszcze dziś...

— Dziwna rzecz!... Z prawdziwą przykrością będę musiał państwa pożegnać...

— O to nic!... byle tylko nie trafił się jaki wypadek... Dobranco! — chór.em odpowiedzieli obecni.

— No, to chyba i ja pójdę spać — rzekła pani Weronika, składając robotę. — Mój Boże! jak świat teraz przewrotny! Ten naprzykład stary grzesznik Ezechiel wszystkich obmawia, a sam podobno najgorszy... Acha!...

— Cóż on znowu zrobił? — pyta gospodyni.

— Niby ty nie wiesz, droga Klociu! — odpowiada mąż z przekąsem.

— Sknera, lichwiarz, kochana pani! — objaśnia Weronika. — Nie jednego już zgubił, a ten jegomość, co przysyłał po niego w nocy, to niezawodnie tradowany dłużnik, albo potrzebujący pieniędzy głupiec... Dobranoc państwu.

— Wielki Boże! — dziwi się Sylwestrowa.

— Tak! tak! moja pani... Dobranoc.

Po wzajemnych uściskach stara dama zniknęła.

— Moja Klociu — zaczął pan domu — jesteś nieznośna z tem ciągłem powątpiewaniem i dziwieniem się...

— A ty z twojem obgadywaniem na współkę z Weroniką, która jest tak fałszywa cała, jak jej zęby i włosy...

— Ależ Klociu, co gadasz?... Wprawdzie Weronika ma swoje dziwactwa...

— Dziwactwa?... Więc to dziwactwo obgadywać wszystkich za oczy, a łasić się w oczy?... Nieznośna kobieta i basta! — zawołała żona i weszła do następnego pokoju.

Mąż pobiegł za nią.

— Moja droga, nie pojmuję, — mówi z gniewem — skąd ci dziś przyszły morały do głowy? Wiem przecież, jaka zwykle jesteś!

— A ja nie pojmuję ciebie! — zawołała żona. — Bronisz dziś Weroniki, a wiem przecie, co na nią zwykle gadasz...

— Bezrozumna kobieto! nie mogłem inaczej gadać, ponieważ Weronika podsłuchiwała za oknem.

— No to i ja nie mogłam chwalić plotek i plotkarki, ponieważ ponieważ Mania przez cały czas naszej rozmowy podsłuchiwała za drzwiami...

— Przecież Mania spać poszła?...

— Mania zawsze tak robi, ile razy chce słyszeć coś, czegoby przy niej nie mówiono

— Doskonałe wychowanie!... — bąknął mąż.

— Dosyć!... — odparła żona.

I już... miało wybuchnąć nieporozumienie familijne. Szczęściem małżonkowie spojrzeli na siebie i... ucichli oboje

BOLESŁAW PRUS

CIENIE

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch — wielka armia nocy, o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczoru, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załamkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszem ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wedrzeć się na niezajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armia zmroków gęstemi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapełnia korytarze domów, sienie i źle oświecone schody; z pod szaf i stołów wypełza na środek pokojów i obsiada firanki przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchym milczeniu szturmuje ściany i dachy, i zaczajona na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną nowe obłoki.

Jeszcze chwilka, i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności, sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozpłyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występek obejmą panowanie nad światem.

Takiej chwili, na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie, i rozniecíwszy wesołe światło, znika, jak cień.

Skąd ty się bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, postawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi możesz porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty wogóle posiadasz jaki dom? w którymby cię znaleźć można? imię, którem możnaby ciebie zawołać? potrzeby i uczucia, któreby cię robiły takim, jak my, człowiekiem? Czyli też jesteś, naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujętą, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika, jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

— Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

— U nas.

— A gdzie?

— W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okna, alem tylko zobaczył tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było.

— Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

— Kto go tam wie! — odparł stróż, wzruszając ramionami. — Sam go nawet dobrze nie znam, — dodał, — bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W pół roku przyszedłem drugi raz.

— A dziś niema w domu latarnika?

— Oho! — rzekł stróż — niema i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł.

Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów, pojechał na cmentarz.

— Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

— Latarnika?... powtórzył. — Kto go tam wie! — Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

— Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

— Takich zwaliło się dwudziestu pięciu.

— Ależ on leżał w niemalowanej trumnie.

— Takich zwieźli szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego grobu. I został tem po śmierci, czem był za życia: istotą widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytną jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni razbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna; gdzie na skrępowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść, — po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trudzi się nieoceniony, a potem znika, jak cień...

HENRYK SIENKIEWICZ

ORSO

Ostatnie dni jesieni są dla Anaheim, miasteczka położonego w południowej Kalifornii 1), dniami zabaw i uroczystości. Kończy się naówczas winobranie całe, więc miasto roi się tłumami ludności robotniczej. Nic bardziej malowniczego nad widok, jaki przedstawia ta ludność, złożona w mniejszej części z Meksykanów, głównie zaś z Indyan Cahuilla, którzy dla zarobku przybywają aż z dzikich gór San-Bernardino, leżących w głębi kraju. Jak jedni, tak i drudzy roztasowują się na ulicach i placach do sprzedania, czyli tak zwanych lotach, na których sypiają pod namiotami, albo wprost pod gołem niebem, wiecznie w tej porze roku pogodnem. Śliczne to miasto, otoczone kępami eukaliptusów, rycinusów, i drzew pieprzowych, wre jakby jarmarkiem gwarnym i hałaśliwym, a stanowiącym dziwne przeciwieństwo z głęboką i poważną ciszą pustyni, porosłej kaktusami, która zaczyna się zaraz za polami winogradu. Wieczorem, gdy słońce kryje promienny swój krąg w toniach oceanu, a na różowem niebie widać również różowo oświecone klucze dzikich gęsi, kaczek, pelikanów, mew i żórawi, ciągnących tysiącami z gór ku oceanowi, w mieście zapalają się ogniska, i rozpoczyna się zabawa. Minstrelowie [2]) murzyńscy klekocą w kastaniety [3]), przy każdem ognisku słychać odgłosy bębnów i mrukliwe tony bandża [4]); Meksykanie tańczą na rozciągniętych ponszach [5]) ulubione swe bollero; Indjanie wtórują im, trzymając w zębach długie białe laski kiotte, lub rzucając okrzyki: *e vival!* [6]); ogniska, sycone czerwonem drzewem huczą i strzelają iskrami, a przy krwawych ich blaskach widać skaczące postacie, dokoła zaś — miejscowych osadników pod rękę z pięknemi żonami i córkami, przypatrujących się zabawie.

Dzień jednak, w którym ostatnie grono zostaje wytłoczone indyjskiemi nogami, jest jest jeszcze uroczystszy, zjeżdża albowiem wówczas z Los Angeles [7]) wędrowny cyrk pana Hirscha, Niemca, a zarazem właściciela menażeryj, złożonej z małp, kuguarów, lwów afrykańskich, jednego słonia i kilkunastu zdziecinniałych ze starości papug „*the Greatest Attraction of the World*" [8]); Jakoż Kahuitowie oddają ostatnie *pezos* [9]), których nie zdołali przepić, aby tylko widzieć nietyle dzikie zwierzęta, bo tych w San-Bernardino nie brak, ile artystki, atletów [10]), klownów [11]) i wszystkie cuda cyrkowe, które wydają im się co najmniej „wielką medycyną", to jest czarodziejstwem możebnem do spełnienia tylko z pomocą sił nadprzyrodzonych.

——————

1) Jednego ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; — 2) pieśniarze; — 3) drewniane klekotki, przyczepiane do palców; — 4) Instrument muzyczny strunny; — 5) Ponsza — płaszcz bez rękawów, opończa; — 6) Niech żyje (hiszp.); — 7) miasto w stanie Kalifornja; — 8) Największa przynęta świata (ang.); — 9) Moneta meksykańska, wartości ok. 2 rb.; — 10) Siłaczy; — 11) Błaznów.

Ściągnąłby jednak na siebie słuszny, a Bóg widzi niebezpieczny gniew pana Hirscha, ktoby myślał, że cyrk jego jest przynętą tylko dla Indyan, Chińczyków lub Murzynów. Przeciwnie: przybycie cyrku pociąga za sobą zjazd nietylko okolicznych osadników, ale nawet mieszkańców sąsiednich mniejszych miast: Westminster, Orange i Los Nietos. Ulica „Pomarańcz" bywa wówczas tak zapchana wozami i powozikami najrozmaitszych kształtów, że niepodobna się przecisnąć. Cały wielki świat „setlerski" [1]) staje jak jeden mąż. Młode, zgrabniutkie miss [2]) z jasnemi grzywkami na oczach, powożąc z kozłów, rozjeżdżają z wdziękiem ludzi po ulicach, szczebiocą i szczerzą ząbki; hiszpańskie senioritas [3]) z Los Nietos rzucają długie powłóczyste spojrzenia z pod tiulowych zasłon; zamężne damy z okolicy, ubrane według ostatniej mody, z dumą wspierają się na ramionach ogorzałych farmerów [4]), którym za cały strój służą obdarte kapelusze, rypsowe pantalony i flanelowe koszule, zaściegnięte w braku krawatów na hetkę i pętelkę.

Wszystko to wita się, nawołuje, ogląda bacznem okiem stroje, o ile są *vedy fashionable* [5]), i obgaduje potrochu.

Wśród powozików, zasypanych kwiatami i wyglądających jak wielkie bukiety, harcują na mustangach [6]) młodzi mężczyźni, i przechylając ukradkiem pod kapelusze dziewicze. Pół dzikie konie, przerażone hukiem i gwarem ,toczą krwawemi oczyma, wspinają się i kwiczą, ale dzielni jeźdźcy nie zdają się nawet zwracać na to uwagi.

Wszyscy rozmawiają o *the greatest atraction* czyli o szczegółach przedstawienia wieczornego, które świetnością ma przejść wszystko, co dotąd widziano. Istotnie, olbrzymie afisze donoszą o cudach prawdziwych. Sam dyrektor Hirsch „artysta na bacie", ma dać koncert z najroższym ze znanych dotąd lwem afrykańskim. Lew rzuca się wedle program na dyrektora, któremu za całą obronę służy tylko bat. Ale zwykle to narzędzie zmieni się w cudownych rękach (zawsze według programu) na ognisty miecz i tarczę. Koniec owego bata ma kąsać jak grzechotnik, migotać jak błyskawica, strzelać jak piorun i trzymać w ciągłem oddaleniu potwora, który napróżno miota się i chce rzucić na artystę. Nie na tem jednak koniec: szesnastoletni Orso, „Herkules amerykański", zrodzony z ojca białego, a matki Indyanki, ma dźwigać na sobie sześciu ludzi, po trzech na każdem ramieniu; prócz tego, dyrekcja ofiaruje sto dolarów każdemu człowiekowi, „bez względu na kolor skóry", któryby małoletniego atletę zmógł w ręcznej walce. Głuche wieści chodzą po Anaheimie, że z gór San-Bernardino przybył umyślnie w celu próbowania się z Orsem Gryzli-Killer, (zabijacz niedźwiedzi), sławny w nieustraszoności i siły wnicznik [7]), który, jak Kalifornia Kalifornią, pierwszy z ludzi ośmielił się uderzać na szarego niedźwiedzia z toporem i nożem

Prawdopodobne zwycięstwo „zabijacza niedźwiedzi" nad szesnastoletnibm atletą cyrkowym podnieca do najwyższego stopnia umysłu wszystkich męskich mieszkańców Anafeimu; jeśli bowiem Orso, który dotychczas wszędzie między Atlantykiem a Pacyfi-

---

1) Osadnicy; — 2) Panny ,ang.); 3) Panny, dziewczęta (hiszp.); — 4) Kolonistów (ang.); — 5) Bardzo modne (ang.); — 6) Mustangi — rasa półdzikich koni stepowych w Ameryce; — 7) Wnicznik — myśliwy, łowiący zwierzęta we wnyki czyli sidła.

kie [1]) rzucał na ziemię najsilniejszych „yankee" [2]), będzie teraz zwyciężony, nieśmiertelna chwała okryje całą Kalifornię. Umysły kobiece niemniej podnieca znowu następny numer programu: mianowicie oto, tenże sam potężny Orso będzie nosił na trzydziesto-stopowym maszcie małą Jenny, „cud świata", o której afisz mówi, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaka żyła na ziemi „za ery chrześcijańskiej". Dyrektor, mimo iż Jenny liczy dopiero lat trzynaście, ofiaruje również sto dolarów każdej dziewicy, „bez względu na kolor skóry", któraby ośmieliła się stanąć w zawód pod względem piękności z „aniołem powietrznym". Miss, miski i miseczki z Anaheimu i okolic krzywią się w pogardliwy sposób, czytając ten punkt programu, i utrzymują, że nie byłoby to „lady like" [3]) stawać do takiego współzawodnictwa .Swoją drogą, każda z nich wolałaby oddać nawet swoje krzesło na biegunach, niż nie być na wieczornem przedstawieniu i nie zobaczyć tej dziecinnej rywalki, w której piękność zresztą, w porównaniu naprzykład z siostrami Bimpa, żadna nie wierzy. Dwie siostry Bimpa, starsza Refugio i młodsza Mercedes, siedząc niedbale w ślicznem „buggy" [4]), czytają właśnie afisz. Na cudnych twarzach ich nie znać najmniejszego wzruszenia, choć czują, że oczy Anaheimu zwracają się na nie w tej chwili: jakby z prośbą, by ratowały honor całego hrabstwa, i zarazem z patriotyczną dumą ugruntowaną na przekonaniu, że nad te dwa kwiaty kalifornijskie niemasz piękniejszych we wszystkich górach i kanionach [5]) świata tego. Och! bo też śliczne są siostry Refugio i Mercedes! W żyłach ich nie napróżno płynie czysta krew kastylska [6]), o czem matka ich mówi co chwila, wyrażając za jedną drogą wysoką swą pogardę ta dla wszelkiego rodzaju kolorowych, jak i dla ludzi, posiadających jasne włosy, to jest dla „yankee".

Ciała dwóch sióstr są wysmukłe, lekkie, a pełne w ruchach jakichś tajemnic, niby ociężałe, a takie rozkoszne, że gdy kto z młodzieży zbliża się do nich, serce miota mu się w piersi od niewyznanej i nieświadomej siebie żądzy. Od donny Refugio i Mercedy bije czar, jak woń bije od magnolii i kielichowców [7]). Twarze ich delikatne, płeć przeźroczysta, choć zarumieniona lekką różowością, jakby odblaskiem jutrzenki; oczy powłóczyste i czarne, a w spojrzeniu niewinne i tkliwe. Obwinięte w skręty muślinowych „rebozos" [8]), w buggy zarzuconem kwiatami, siedzą oto przeczyste, spokojne i tak piękne, że same nawet zdają się nie wiedzieć o swej piękności. Anaheim patrzy na nie, pożera je oczyma, szczyci się niemi i kocha się w nich. Jakaż więc musi być ta Jenny, jeśli i tu chce odnieść zwycięstwo? *Saturday Weekly Review* [9]) pisał wprawdzie, że gdy mała Jenny wedrze się na szczyt masztu, wspartego na potężnem ramieniu Orsa, gdy na szczycie drąga zawieszona nad ziemią, narażona na śmierć, pocznie rozkładać rączki i migotać jak motyl, w cyrku robi się cicho, i nietylko oczy, ale i serca śledzą ze drżeniem każdy ruch cudnego dziecka. „Kto ją raz widział na maszcie, lub na koniu — kończy *Saturday Review* — ten jej nie zapomni nigdy, bo największy malarz na ziemi, nawet mister Harvey z San-Francisco, który malował Palace Hotel, nie umiałby wymalować nic podobnego".

———————

1) Oceanem Wielkim czyli Spokojnym (ang.) — 2) Amerykanów (ang); — 3) godne szanującej się niewiasty (ang.); — 4) Rodzaj powoziku (ang.); — 5) Kaniony — wielkie parowy rzek o brzegach stromych; — 6) Hiszpańska; — 7) Rośliny; — 8) Kwef — zasłona (hiszp.); 9) Przegląd Tygodniowy Sobotni (ang.).
Kłamstwo, oszustwo.

Sceptyczna lub zakochana w pannach Bimpa młodzież anaheimska utrzymuje, że jest w tem „humbug", niemniej jednak rozstrzygnie się to ostatecznie dopiero wieczorem. Tymczasem rucha koło cyrku powiększa się z każdą chwilą. Z pośrodka długich szop drewnianych, otaczających płócienny cyrk lwów i słonia; papugi, poprzyczepiane do kół, zawieszonych przy szopach, wrzeszczą w niebogłosy, małpy huśtają się na własnych ogonach, przedrzeźniając publiczności, trzymanej w oddaleniu sznurami rozciągniętymi wkoło budynków.

Nareszcie z głównej szopy wyjeżdża procesja, której celem zaciekawić do tego stopnia publiczność, żeby aż skamieniała. Czoło procesyj stanowi ogromny wóz, zaprzągnięty w sześć koni z piórami na głowach. Woźnice w kostiumach pocztylionów francuskich powożą z siodła. Na wozach stoją klatki ze lwami, w każdej zaś klatce siedzi lady z różdżką oliwną. Za wozem postępuje słoń pokryty kobiercem, z wieżą na grzbiecie i łucznikami w wieży. Trąby grają bębny biją, lwy ryczą, bicze klaskają, słowem, cała karawana jak gomon [1]) posuwa się naprzód z hałasem i wrzawą; niedosyć na tem: za słoniem toczy się maszyna z kominem jak u lokomotywy, podobna do organów, na której para gra, a raczej kwiczy i wyświstuje najpiekielniej narodowe „Yankee Doodle". Chwilami para dłużej zatrzymuje się w dudzie, a wtedy z dudy wychodzi zwyczajny świst, co jednak nie zmniejsza entuzjazmu [2]) tłumów, które, słuchając tej pieśni kwicząco-parowej, nie posiadają się z radości. Amerykanie krzyczą: hurra! Niemcy: hoch! Meksykanie: e viva! Kuhuilowie zaś wyją z zadowolenia, jak dzikie zwierzęta, które pokąsał giez [3]).

Tłumy ciągną za wozami, miejsce naokół cyrku wyludnia się, papugi przestają wreszczeć, małpy przewracać koziołki: *The greatest attraction* nie bierze jednak udziału w procesji. Na wozach niema ani „niezrównanego na bacie" dyrektora, ani niezwyciężonego „Orsa", ani „anioła powietrznego Jenny". To wszystko chowa się dopiero na wieczór, aby tem większe wywołać wrażenie. Dyrektor siedzi gdzieś w szopie, lub zaglada do kas, w których jego murzyni wyszczerzają białe zęby do publiczności — zagląda i złości się *quand meme* [4]); Orso zaś i Jenny mają właśnie próbę w cyrku. Pod płóciennym jego dachem panuje jednak cisza i mrok. Głąb, w której piętrzą się coraz wyżej ławki, prawie zupełnie jest ciemna, największa natomiast ilość światła wpada przez płócienny dach na wysypaną piaskiem i otrębami arenę [5]). Przy owych szarych, przecedzonych przez płótno blaskach, widać stojącego przy parapecie [6]) konia, wedle którego niema nikogo. Grubo-płaski koń nudzi się widocznie, opędza się ogonem od much i kiwa, o ile może, łbem, przywiązanym na białym lejcu i podgiętym ku piersiom. Powoli oko odkrywa i inne przedmioty, jak oto: leżący na piasku drąg, na którym Orso nosi zwykle Jenny, i kilka obręczy, zaklejonych bibułą, przez które Jenny ma skakać — ale wszystko to leży niedbale porzucone, cała zaś pół oświecona arena i mroczny zupełnie cyrk robią wrażenie pustkowia z pozabijanemi oddawna oknami. Szeregi spiętrzonych ławek, w niektórych tylko miejscach obrzucone

———————

1) Lud prosty wierzy w istnienie dziwnego zjawiska — gomonu, w czasie którego zwierzęta, krzewy i kamienie zrywają się jakoby i pędzą naprzód na oślep, z hałasem, wrzawą a nawet i dźwiękami muzyki; — 2) Zachwytu, uniesienia; — 3) Złośliwy owad dwuskrzydły; — 4) Pomimo wszystko (franc.); — 5) Przestrzeń w pośrodku cyrku, przeznaczona do popisów; 6) Poręczy, ogrodzeniu

blaskiem, wyglądają jak rumowiska; stojący ze spuszczonym łbem koń nie ożywia obrazu.

Gdzież są Orso i Jenny? Jedno z pasm wkradającego się przez szpary światła, w którem kręci się i wiruje kurz, pada jako złota plama na zagłębienie dalszych ławek. Plama ta posuwa się zgodnie z ruchem słońca na dworze, a w końcu oświetla grupę, złożoną z Orsa i Jenny.

Orso siedzi na wierzchu ławki, przy nim zaś Jenny. Jej śliczna dziecinna twarzyczka przytulona jest do ramienia atlety, a ręka otacza jego kark i zwiesza się na drugiem ramieniu. Oczy dziewczynki wzniesione są do góry, jakby słuchała uważnie słów towarzysza, który, pochylony nad nią, porusza niekiedy głową, niby tłómacząc coś i przekładając. Tak przytulonych do siebie możnaby wziąć za parę zakochaną, gdyby nie to, że odziane w bladoróżowe trykoty [1]) nóżki Jenny, nie dostając do ziemi, kiwają się w tył i naprzód ruchem zupełnie dziecinnym, który nazywa się także robieniem garnków, a jej wzniesione oczy wyrażają raczej zasłuchanie się i mocne natężenie myśli, niż inne jakie romantyczne [2]) uczucie. Przytem kształty jej przybierają dopiero pierwsze zarysy kształtów kobiecych. Wogóle Jenny jest jeszcze dzieckiem, ale tak uroczem, że nie ubliżając panu Harvey z San-Francisco, który malował Palace Hotel, trudnoby mu było wymarzyć coś podobnego. Jej drobna twarzyczka jest poprostu anielska; ogromne, smutne, niebieskie oczy mają wyraz głęboki, słodki, ufny; ciemne brwi rysują się z nieporównaną czystością na czole białem i jakby zamyślonem, na które płowa, jedwabista, trochę bezładna czupryna rzuca cień, jakiegoby się nietylko mistrz Harvey, ale i pewien innym malarz, nazwiskiem Rembrandt, nie powstydził. Dziewczynka przypomina zarazem kopciuszka i Gretchen, a przytuloną postawą, jaką przybrała, zdradza usposobienie bojaźliwe i potrzebujące opieki.

Od tej postaci w rodzaj Greuza [3]) dziwnie odbija strój cyrkowy, złożony z krótkiej gazowej spódniczki, naszywanej srebrnemi blaszkami, tak krótkiej, że nie okrywa jej kolan, i różowych trykotów. Siedząc w paśmie złotego światła, na tle głębokiem i ciemnem, wygląda jak jakie zjawisko słoneczne i przezroczyste, a przytem kształty jej wysmukłe tworzą proste przeciwieństwo w kwadratową postacią chłopaka.

Orso, ubrany w cielisty trykot, wydaje się z daleka nagim, a tenże sam promień oświeca jego rozrosłe nieproporcjonalnie bary, zbyt wypukłą pierś, zapadły brzuch i za krótkie w stosunku do długiego tułowiu nogi. Potężne jego formy zdają się być tylko z gruba wciosane toporem. Ma on wszystkie cechy cyrkowego atlety, ale podniesione do takiej potęgi, że czynią z niego prawie karykaturę [4]). Przytem jest brzydki. Chwilami, gdy podnosi głowę, widać twarz jego, której rysy wprawdzie są prawidłowe, może nawet bardzo prawidłowe, ale jakieś zastygłe i także jakby wyrąbane siekierą. Nizkie czoło i spadające aż na nos czarne włosy, podobne do włosienia końskiego, a odziedziczone zapewne po matce skwawie [5]), nadają jego licom wyraz ponury i groźny. Jest on zarazem podobny do byka i niedźwiedzia, a wogóle uosabia straszliwą siłę, ale złą. Jakoż wcale nie jest dobry.

---

1) Tkaninę robioną sposobem pończoszniczym; — 2) Romansowe, miłosne; — 3) Greuze — malarz francuski : XVIII wieku, wsławiony malowaniem głównie kobiecych postaci i główek pełnych niezmiernego wdzięku i prostoty; — 4) Obraz w ośmieszonej postaci. — 5) Indyance.

Gdy Jenny przechodzi koło klatek końskich, poczciwe te stworzenia zwracają głowy i patrzą na nią rozumnemi oczyma, rżą zcicha, jakby chciały powiedzieć: *„How do you do, darling?"* 1) na widok zaś Orsa aż przysiadają ze strachu. Jest to chłopak zamknięty w sobie, mrukliwy i posępny. Murzyni pana Hirscha, pełniący obowiązki masztalerzy 2), klownów, minstrelów i linoskoczków, nie cierpią go i dokuczają mu jak tylko mogą, ponieważ zaś jest metysem 3), nic sobie z niego nie robią i głośno wypowiadają mu swą pogardę. Dyrektor, który, prawdę rzekłszy, niewiele ryzykuje, stawiając sto dolarów 4) za nim naprzeciw każdemu, ktoby się chciał z nim próbować, nienawidzi go i boi się zarazem, ale w taki sposób, w jaki pogromca zwierząt boi się naprzykład lwa, to jest ćwiczy go z lada powodu.

Dzieje się to jeszcze i dlatego, iż pan Hirsch sądzi, że gdyby on nie bił chłopaka, byłby przez niego bity, ale wogóle trzyma się zasady pewnej kreolki 5), która bicie uważała za karę, a niebicie za nagrodę.

Taki to jest Orso. Od niejakiego czasu stał się on jednak lepszym, albowiem zaczął bardzo kochać małą Jenny. Zdarzyło się przed rokiem, że gdy raz Orso, który był zarazem dozorcą zwierząt, czyścił klatkę kuguara 6), zwierz, wysunąwszy łapę przez pręty, skaleczył go dość mocno w głowę. Wówczas atleta wszedł do klatki, i ze strasznej walki jaka się wywiązała między nim a zwierzęciem, wyszedł sam tylko żywy. Był jednak tak silnie pokaleczony, że zemdlał, a potem chorował długo, tembardziej, że dyrektor oćwiczył go jeszcze za połamaną kuguarowi kość pacierzową. W czasie choroby mała Jenny okazywała mu wiele litości, opatrywała mu w braku kogo innego jego rany, a w chwilach wolnych przesiadując przy nim, czytała mu Biblię, to jest „dobrą książkę", która mówiła o kochaniu się, o przebaczeniu, o miłosierdziu, słowem, o rzeczach, o których nigdy nie było mowy w cyrku pana Hirscha. Orso, słuchając tej książki, pracował długo swoją indyjską głową, a w końcu doszedł do tego przekonania, że gdyby tak było w cyrku, jak w tej książce, to i on nie byłby zły. Myślał także, że wówczas nie bywałby bity, a może nawet znalazłby się ktoś taki, ktoby go kochał. Ale kto? Nie murzyni i nie pan Hirsch, więc chyba mała Jenny, której głos tak mu słodko brzmiał w uszach, jak głos maukawisa 7).

Wskutek tej myśli, pewnego wieczoru rozpłakał się ogromnie, zaczął całować małe ręce Jenny i od tej pory pokochał ją bardzo. Odtąd, gdy w czasie wieczornych przedstawień dziewczynka jeździła na koniu, on był zawsze na arenie i wodził za nią troskliwemi oczyma. Podstawiając jej obręcze, pozaklejane bibułą, uśmiechał się do niej, a gdy przy towarzyszeniu nuty: „Ach, śmierć blizka!" nosił ją ku wielkiemu przerażeniu widzów na szczycie drąga, to i sam był przerażony. Wiedział dobrze wówczas, że gdyby ona spadła, to jużby nie było nikogo w cyrku z ‚dobrej książki", nie spuszczał też z niej oczu, a ta jego ostrożność i jakby trwożliwość ruchów dodawała grozy widowisku. Po-

---

1) Jak się masz, kochanko (ang.); 2) Stajennych; 3) Potomek z małżeństwa Indyanki z Europejczykiem lub Europejki z Indyaninem; 4) Dolar — moneta północno-amerykańska wartości blizko 2 rubli; 5) Kreolowie — potomkowie europejczyków. osiadłych w Ameryce środkowej i południowej; 6) Kuguar czyli puma jakkolwiek mniejszy od lwa — zwierzę drapieżne; 7) Ptak o głosie nader przyjemnego brzmienia.

tem, gdy wywołani burzą oklasków, wbiegali razem na arenę, wysuwał ją zawsze naprzód, aby na nią największe brawą spadły, i mruczał z radości. Z nią też jedną umiał rozmawiać ten mruk i przed nią tylko otwierał się. Nienawidził on cyrku i pana Hirscha, który był zupełnie inny, niż ludzie „dobrej książki". Coś ciągnęło go zawsze na kraniec widnokręgu, na bory i stepy. Gdy wędrownej trupie w ciągłych włóczęgach zdarzyło się przebywać okolice niezaludnione, odzywały się w nim takie instykta, jakie odzywają się w chowanym wilku, który pierwszy raz bór zobaczy. Skłonność tę może nietylko po matce odziedziczył, bo i ojciec jego biały był zapewne jakim wnicznikiem, błądzącym po stepach. Z tych swoich pragnień zwierzał się małej Jenny, a zarazem opowiadał jej, jak się to żyje na pustyni. Po większej części to odgadywał, a trochę wiedział o tem od stepowych strzelców, którzy niekiedy przychodzili do cyrku, już to dostarczając dzikich zwierząt panu Hirschowi, już aby się pokusić o owe sto dolarów, które dyrektor za zwalczenie Orsa wyznaczył.

Mała Jenny słuchała zwykle tych odgadywań i indyjskich widzeń ,otwierając szeroko swe niebieskie oczy, lub zamyślając się. O, bo Orso sam nigdy nie wybierał się na pustynię. Ona była zawsze z nim, i tak im było dobrze, że aż strach. Codzień widzieli coś nowego, mieli całe swoje gospodarstwo, wypadało więc nad wszystkiem się zastanowić.

Siedzą więc oto teraz oboje w paśmie światła i rozmawiają, zamiast robić próbę nowych skoków. Koń stoi na arenie i nudzi się. Mała Jenny, przytulona do ramienia Orsa, utkwiła zamyślone oczy w przestrzeń i nóżkami kiwa zawzięcie i rozważa w swojej małej główce, jak to będzie na pustyni, a czasem rzuca pytania, żeby się jeszcze lepiej dowiedzieć, jak to będzie.

— A gdzie tam mieszkać? — pyta, podnosząc oczy na towarzysza.

— Tam jest pełno dębów. Bierze się siekierę i buduje się dom.

— Well [1], — mówi Jenny — a nim dom stanie?

— Tam zawsze ciepło. Gryzli-Killer mówił, że tam bardzo ciepło.

Jenny poczyna kiwać jeszcze mocniej nóżkami na znak, że jeśli tam ciepło, to jej o nic więcej nie chodzi; ale po chwili zastanawia się znowu. Ma ona w cyrku ulubionego psa, który nazywa się pan pies, i kota, zwanego pan kot, chciałaby więc i względem nich coś postanowić.

— A pan pies i pan kot pójdą z nami ?

— Pójdą — odpowiada Orso i mruczy z radości.

— Weźmiemy z sobą i „dobrą książkę"?

— Weźmiemy! — mówi Orso i mruczy jeszcze głośniej.

— Well — szczebioce dziewczynka. — Pan kot będzie nam łapał ptaszki, a pan pies będzie szczekał, jeśli zechce do nas przyjść kto brzydki; a ty będziesz mężem, ja twoją żoną ,a one będą nasze dzieci.

Orso taki już uszczęśliwiony, że nie może nawet mruczeć, więc Jenny prawi dalej:

— I pana Hirscha nie będzie, i cyrku nie będzie, i nie będziemy nic nigdy robić, i tyle!... Ale nie! — dodaje po chwili: — „dobra książka" mówi, że trzeba pracować, więc czasem przeskoczę sobie przez jaką obręcz, przez dwie obręcze, przez trzy obręcze, przez cztery obręcze !

---

1) Dobrze.

Jenny nie wyobraża sobie widocznie pracy pod inną postacią niż skakanie przez okręcze .

Po chwili pyta znowu:

— Orso, i ja naprawdę będę zawsze z tobą ?

— Tak jest, Dży: ja ciebie bardzo kocham.

Twarz jego rozjaśnia się, gdy to mówi, i staje się prawie ładna.

A jednak on sam nie wie, jak kocha tę małą jasnowłosą główkę.

Oto: jak brytan swoją panią. Zresztą na całym świecie ją tylko jedną. Swoją drogą wygląda przy niej, jak smok, ale co mu to szkodzi? Nic a nic.

— Dży, — mówi po chwili — posłuchaj, co ci powiem.

Jenny, która przed chwilą podniosła się, chcąc spojrzeć na konia, przyklękła teraz przed Orsem, i aby nic nie stracić z jego słów, opiera łokcie na jego kolanach, następnie, położywszy brodę na obie dłonie, poczyna słuchać z zadartą główką.

W tej chwili jednak, na nieszczęście dzieci, wchodzi do cyrku artysta na bacie, a wchodzi w jak najgorszym humorze, albowiem próba ze lwem zupełnie się nie udała.

Wyłysiały ze starości zwierz, który radby, żeby mu już raz dali święty spokój, żadną miarą nie chciał rzucać się na artystę — pod razami bata chował się tylko wgłąb klatki. Dyrektor myślał z rozpaczą, że jeśli to lojalne [1]) usposobienie nie opuści lwa do wieczora, to ,,koncert na bacie'' może się nie udać, bo bić lwa, który się odwraca, nie jest większą sztuką, niż zacząć jeść raka od ogona.

Humor dyrektora jeszcze się pogorszył, gdy murzyn, sprzedający bilety na paradyz [2]), doniósł mu, że Kahuilowie widocznie już przepili pieniądze wzięte za winobranie, albowiem zgłasza się ich wprawdzie do kasy wielu, ale zamiast pieniędzy, ofiarowują za bilety swoje derki, znaczone U. S. [3]) ,albo też żony, zwłaszcza stare. Brak pieniędzy u Kahuilów był niemałą stratą dla artysty na bacie. Liczył on bowiem na ,,crowded house [4]), a bez paradyzu nie może być ,,crowded house'', dlatego dyrektor życzył sobie w tej chwili, aby wszyscy Indyanie mieli tylko jeden grzbiet, i aby on mógł dać koncert na tym grzbiecie wobec całego Anaheimu. W tem usposobieniu wchodzi do cyrku, a widząc konia, nie robiącego nic i stojącego ze znudzoną miną pod parapetem, ma ochotę przewrócić kozła z gniewu. Gdzież mogą być Orso i Jenny? Zakrywszy ręką czoło, aby mu oczu nie zaślepiało światło, wdzierające się przez płótno, dyrektor wpatruje si w głąb i dostrzega w świetlanem pasemku Orsa i Jenny, klęczącą przed nim, z łokciami wspartymi na jego kolanach. Ujrzawszy takie widowisko, puszcza koniec bata na ziemię !

— Orso !

Piorun, któryby uderzył w grupę dwojga dzieci, nie mógłby wywołać większego w nich przerażenia. Orso zrywa się na równe nogi i poczyna zstępować wycięciem między ławkami na dół, tym pośpiesznym ruchem zwierzęcia, idącego do nogi na głos pana; za nim postępuje mała Jenny z oczyma szeroko otwartemi z przerażenia, chwytając się po drodze ławek.

———————

1) Uległe; — 2) Najtańsze miejsce w cyrku lub teatrze; 3) U.S. od ,,United States'' czyli Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Derki te Indjanie otrzymywali darmo od rządu państwa; 4) .,Natłoczony dom» czyli przepełnienie cyrku publicznością.

Orso, wylazłszy na arenę, zatrzymuje się przy parapecie, chmurny i milczący. Szare światło, padające z góry, oświeca teraz wyraźnie jego herkulesowy [1]) tułów, osadzony na krótkich nogach

— Bliżej! — woła ochrypłym głosem dyrektor, gdy tymczasem koniec jego rozpuszczonego bata porusza się po piasku złowrogim ruchem, jakim porusza się ogon tygrysa, czyhającego z zasadzki.

Orso postępuje kilka kroków, i przez jakiś czas obaj patrzą sobie w oczy. Dyrektor ma zupełnie minę pogromcy, który, wszedłszy do klatki, ma zamiar ćwiczyć niebezpieczne zwierzę, ale zarazem śledzi je.

Wściekłość bierze w nim jednak górę nad ostrożnością. Jego cienkie nogi, ubrane w łosiowe spodnie i wysokie masztalerskie buty, podskakują pod nim z gniewu. Może zresztą nie same tylko próżnowanie dzieci wzbudza w nim gniew. W górze między ławkami Jenny patrzy na obydwóch, jakby patrzała sarna na dwa rysie.

Bat z szybkością błyskawicy opisał krąg, zaświstał, zasyczał i uderzył. Orso zaskowyczał z cicha i rzucił się krok naprzód, ale drugie uderzenie wstrzymało go od razu, poczem trzecie, czwarte dziesiąte. Koncert rozpoczął się, choć widzów jeszcze nie było, Wzniesiona ręka wielkiego artysty nie poruszała się prawie wcale. dłoń tylko kręciła się, jakby część jakiej maszyny, osadzona na śrubie, a każdy jej skręt odzywał się klaśnięciem na skórze Orsa. Zdawało się, że bat, a raczej jadowity jego koniec, wypełnił całą przestrzeń między atletą a dyrektorem, który, podbudzając się sam stopniowo, wpadł w prawdziwe uniesienie artystyczne. Mistrz improwizował [2]) poprostu. Trzaskawka, migocąc w powietrzu, dwa razy już wypisała krwawe ślady na szyi atlety, które wieczorem miał pokryć puder.

Orso zamilkł w tańcu. Za każdem jednak uderzeniem posuwał się krok naprzód — dyrektor krok w tył. W ten sposób obeszli całą arenę. I znowu dyrektor wycofywał się z areny, zupełnie jak pogromca z klatki, a wreszcie znikł u wejścia do stajen... zupełnie jak pogromca.

Na odchodnem jednak wzrok jego padł na Jenny.

— Na koń ! — wykrzyknął. — Rachunek na później.

Głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy biała spódniczka mignęła w powietrzu, i Jenny w mgnieniu oka skoczyła, jak małpa, na grzbiet koński. Dyrektor zniknął za zasłoną, koń zaś począł galopować wkoło, dudniąc niekiedy kopytami w parapet.

— „Hep! hep!" — ale owo „hep! hep!" było zarazem łkaniem. Koń biegł coraz prędzej i dudnił kopytami, pochylając się coraz gwałtowniej. Dziewczynka, stojąc na siodle z nóżkami, przyciśniętemi jedna do drugiej, zdawała się go ledwie końcami palców dotykać; różowe nagie jej rączki chwytały nagłymi ruchami równowagę; rzucone w tył pędem powietrza włosy i cyrkowa z gazy spódniczka goniły za jej lekką postacią, podobną do ptaka, krążącego w powietrzu.

— „Hep! hep!" — pokrzykiwała jeszcze. Tymczasem łzy zalewały jej oczy, tak, że musiała głowę zadzierać, żeby coś widzieć; bieg konia odurzył ją: spiętrzone szeregi ławek i ściany i arena poczęły wirować naokół niej. Zachwiała się raz, drugi i wreszcie spadła w ramiona Orsa.

———————

1) Herkules był według podań starogreckich półbogiem i bohaterem nadludzkiej siły; 2) Improwizować mowę lub czyn tj. dokonywać go z natchnienia. bez przygotowania.

— O, Orso! biedny Orso! — wołało, szlochając, dziecko.

— Co ci jest, Dży? — szeptał chłopiec. — Czego płaczesz? Nie płacz, Dży! Mnie nie bardzo boli, wcale nie bardzo.

Jenny rzuciła mu obie ręce na szyję i poczęła całować jego policzki. Całe jej ciało trzęsło się od uniesienia, a płacz przechodził prawie w spazmy.

— Orso! o, Orso! — powtarzała, nie mogąc więcej przemówić i ręce jej zaciskały się gwałtownie koło jego szyi. Gdyby sama została wybita, nie mogłaby płakać więcej; jakoż w końcu on zaczął ją utulać i pocieszać... Zapomniawszy o bólu, chwycił ją na ręce i przyciskał z kolei do serca, a rozkołysane biciem jego nerwy sprawiły, że pierwszy raz uczuł, iż kocha ją nietylko tak, jak brytan swą panią. Oddychał szybko, a wargi jego poczęły szeptać przerwanem tchnieniem:

— Nic mnie już nie boli... Gdy ty jesteś przy mnie, bardzo mi jest dobrze... Jenny! Jenny!

Tymczasem dyrektor chodził po stajniach i pienił się ze złości. W sercu jego nurtowała zazdrość. Widział on dziewczynkę na kolanach przed Orsem, a od pewnego już czasu cudne dziecko poczęło w nim wzbudzać jakby brzask nizkich uczuć, niedość jeszcze rozwiniętych. Ale posądził już ją i Orsa o romans, więc pragnął się zemścić. Znalazłby dziką rozkosz, gdyby ją wybił, bardzo mocno wybił, i tej chęci nie mógł się oprzeć. Po chwili zawołał na nią.

Wyrwała się natychmiast z rąk atlety i w mgnieniu oka znikła w ciemnem wejściu do stajen. Orso był jakby odurzony, bo zamiast iść za nią, poszedł chwiejnym krokiem do ławki, i siadłszy na niej, począł ciężko robić piersiami.

Tymczasem dziewczynka, wbiegłszy do stajni, nie spostrzegła zrazu nikogo, albowiem ciemniej tam było jeszcze, niż na arenie. Bojąc się jednak, aby nie posądzono jej, iż nie spełniła natychmiast rozkazu, wołała cichym i przestraszonym głosem:

— Już jestem tu, panie, już jestem.

W tej samej chwili ręka dyrektora chwyciła za małą jej rączkę, a chrapliwy głos wyrzekł:

— Come! 1)

Gdyby był gniewał się na nią, lub krzyczał, mniejby ją to przerażało, niż owo milczenie, w jakiem prowadził ją w stronę garderoby 2) cyrkowej. Przechyliła się więc w tył, i opierając się co siły, powtarzała, jak mogła najszybciej:

— Mister 3) Hirsch! mój drogi, mój słodki! nigdy nie będę...

Ale on prowadził ją przemocą do długiej zamkniętej komory, w której był skład kostiumów 4), i zamknął drzwi na klucz.

Jenny rzuciła się na kolana. Ze wzniesionemi oczyma ku górze, ze złożonemi rękoma, drżąca jak liść, zalana łzami, próbowała go przebłagać; on zaś, zdjąwszy szpicrutę ze ściany, rzekł w odpowiedzi:

— Połóż się!...

Uczepiła się wówczas rozpaczliwie jego nóg, bo prawie umierała ze strachu. Każdy nerw dygotał w niej, jak naciągnięta struna, ale napróżno swoje zbladłe usteczka przycisnęła błagalnie do jego wyglansowanych cholew. Przeciwnie: strach jej i prośby zdawały się go jeszcze podniecać. Chwyciwszy ją za opaskę spódniczki, rzucił na stos sukien leżących na stole, potem przez chwilę jeszcze tłumił gwałtowne poruszenia jej nóg i wreszcie uderzył.

———————

1) Chodź (ang.); 2) Ubieralnia, szatnia; 3) Panie «ang». 4) Ubrań.

— Orso! Orso! — zawołała dziewczynka.

W tej samej chwili drzwi zatrzęsły się w zawiasach, zatrzeszczały od góry do dołu, i cała ich połowa, wybita olbrzymią siłą, zwaliła się z łoskotem na ziemię.

W wyłomie stanął Orso.

Szpicruta wypadła z ręki dyrektora, a twarz pokryła mu się trupią bladością, bo też Orso wyglądał strasznie. Zamiast oczu, widać mu było tylko białka, szerokie wargi jego pokryte były pianą, głowa pochylona jak u byka, a całe ciało zebrane w sobie niby do skoku.

— Precz! — krzyknął dyrektor, starając się krzykiem pokryć strach.

Ale tama była już zerwana. Orso, tak zwykle posłuszny na każde skinienie jak pies, nie cofnął się tym razem, tylko schyliwszy niżej jeszcze głowę, posuwał się złowrogo ku artyście na bacie, rozciągając jakby przemocą swoje żelazne muskuły [1].

— *Help! Help!* [2] — zawrzeszczał artysta.

Dosłyszano go.

Czterech ogromnych murzynów wbiegło co sił ze stajen przez wyłamane drzwi i rzuciło się na Orsa. Zaczęła się straszna walka, której dyrektor przypatrywał się, szczękając zębami. Przez długi czas widać było tylko kupę poplątanych ciemnych ciał, pasujących się w konwulsjnych skrętach, ruchliwą, kłębiącą się, zwichrzoną; w ciszy, jaka zapadła, rozległ się czasem jęk, czasem chrapnięcie lub świst nozdrzy. Ale po chwili jeden z murzynów, wyrzucony jakby nadludzką siłą z owej bezkształtnej masy, zakołysał się w powietrzu i padł obok dyrektora, uderzywszy z głuchym łoskotem czaszką o podłogę; wkrótce wyleciał drugi, a wreszcie ponad kłębem walczących podniósł się tylko Orso, straszniejszy niż przedtem, pokrwawiony i z włosem zjeżonym na głowie. Kolana jego gniotły jeszcze dwóch omdlałych negrów. Potem podniósł się i szedł znowu ku dyrektorowi.

Artysta zamknął oczy.

W tejże samej sekundzie uczuł, że nogi jego nie dosięgają już ziemi, potem uczuł, że leci w powietrzu, a jeszcze potem nic nie uczuł, bo uderzywszy całem ciałem w pozostałą połowę drzwi, padł bez czucia na ziemię.

Orso obtarł się i zbliżył do Jenny.

— Chodź! — rzekł krótko.

Wziął ją za rękę i wyszli. Całe miasto goniło właśnie za procesją wozów i za maszyną grającą „Yankee Doodle" — więc koło cyrku było zupełnie pusto. Papugi tylko, kołyszące się w obręczach, napełniały krzykiem powietrze. Dzieci szły ręka w rękę prosto przed siebie; tam, gdzieś na końcu ulicy, widać było z daleka niezmierzone pole kaktusowe. Milcząc, mijali domy ukryte w cieniu eukaliptów, następnie minęli miejscową bydłobójnie, koło której kręciły się tysiące szpaków czarnych z czerwonymi skrzydłami, przeskoczyli wielki rów irygacyjny [2], weszli w lasek drzew pomarańczowych i, wydostawszy się z niego, znaleźli się między kaktusami.

To już była pustynia.

Jak okiem sięgnąć, piętrzyły się coraz wyżej kolczaste kępy; powikłane liście, wyrastające z innych liści, zagradzały drogę, chwytając haczykami za sukienkę Jenny. Czasem kaktusy wznosiły się tak wysoko, że dzieci były jakby w lesie jakim, ale też w

1) Pomocy, pomocy (ang.); 2) Służący do nawadniania pól lub łąk.

tym lesie nikt już nie mógł ich znaleźć. Szli więc, skręcając to na prawo, to na lewo, byle dalej. W miejscach, gdzie piramidy kaktusów [1]) były mniejsze, widać było na samym krańcu widnokręgu błękitne góry Santa-Anna. Szli ku górom. Upał był wielki. Popielate szarańcze ksykały w kępach; promienie słoneczne zlewały się na ziemię potokami; wysuszona ziemia pstrzyła się siatką zapadlin, sztywne liście kaktusów zdawały się mięknąć od gorąca, a kwiaty były omdlałe i nawpół zwiędłe. Dzieci szły, milcząc i rozmyślając. Ale wszystko, co ich otaczało, było tak nowe, że wkrótce oboje oddali się zupełnie wrażeniom i zapomnieli nawet o zmęczeniu. Jenny biegała oczyma z jednej kępy na drugą ,to znów zapuszczała badawczy wzrok w środek kaktusów, pytając od czasu do czasu cicho towarzysza:.

— To to jest pustynia, Orso ?

Jednak pustynia nie zdawała się być pustą. Z dalszych kęp dochodziły nawoływania kogutów kuropatwich ,a naokoło rozlegały się rozmaite dziwne klaskania, cmokania, mruczenia, słowem: najróżnorodniejsze głosy małych zwierzątek, zamieszkujących kaktusy. Czasem zrywało się całe stado kuropatw; czubate biegacze uciekały piechotą na długich swych nogach, czarne wiewiórki dawały za zbliżeniem się dzieci nurka pod ziemię, na wszystkie strony pierzchały zające i króliki; susły, siedzące na tylnych łapkach przed jamami, podobne były do do tłustych niemieckich fermerów [2]), stojących we drzwiach domów.

Wypocząwszy małą godzinkę, dzieci poszły dalej. Jenny wkrótce zachciało się pić, na co Orso, w którym widocznie budziła się przemyślność indyjska, poradził, nazrywawszy owoców kaktusowych. Było ich mnóstwo i wyrastały z jednych liści wraz z kwiatami. Wprawdzie obierając je, pokłóli się oboje o delikatne jak włosy kolce, ale za to owoce smakowały im wyśmienicie. Słodkawy i kwaśny smak ich ugasił i pragnienie i głód zarazem. Pustynia nakarmiła dzieci jak matka; posiliwszy się, mogli iść dalej. Kaktusy piętrzyły się coraz wyżej, można rzec ,że wyrastały jeden drugiemu na głowie. Grunt, po którym szli, podnosił się zwolna, ale ciągle. Raz jeszcze ze wzgórza obejrzawszy się, ujrzeli Anaheim napoły rozpłynięte w oddali, podobne do wielkiej kępy drzew, rosnących na nizkim stepie. Cyrku już nie było, widać ani śladu. Szli jednak bardzo wytrwale całemi godzinami ku górom, które rysowały cię coraz wyraźniej. Okolica zaczęła przybierać inną postać. Między kaktusami zjawiały si już różne krzaki, a nawet i drzewa. Zaczynała się lesista część podgórzy przy Santa-Ana. Orso złamał jedno z mniejszych drzew i, poobrywawszy gałęzie, uczynił z niego maczugę [3]), która w jego ręku mogła być straszliwą bronią. Instynkt Indyanina szeptał mu, że w górach lepiej jest mieć choć pałkę, niż gołe ręce, tembardziej, że powoli i słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi. Jego wielka ognista tarcza stoczyła się już nawet daleko za Anaheim i zapadała w ocean. Po chwili znikła, ale na zachodzie świeciły zorze czerwone, złote i pomarańczowe, podobne do długich pasem i taśm, porozciąganych po całem niebie. Góry jeżyły się w tych blaskach, kaktusy przybierały różne fantastyczne kształty, podobne do ludzkich i zwierzęcych. Jenny czuła się zmęczona i śpiąca, ale zdążali oboje co sił do gór, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Jakoż wkrótce ujrzeli skały, a doszedłszy do nich, odkryli strumień. Napiwszy się wody, szli dalej wzdłuż łożysk. Tymczasem skały, z początku

---

1) T.j. kopiaste krzewy kaktusów; 2) Kolonistów; 3) Pałkę.

rozproszone i przerywane, zmieniły się na jednolite mury, potem na ściany coraz wyższe, i tak weszli w kanion, czyli wąwóz.

Zorze gasły; mrok ogarniał ziemię coraz większy. Miejscami, gdzie liany [1]) przerzucały się z jednej strony ściany na drugą,tworząc jakoby sklepienia nad strumieniem, było zupełnie ciemno i wcale straszno. Na górze słychać było jakby szum drzew, których z dołu nie mogli dojrzeć. Orso dorozumiewał się, że to już puszcza, w której pełno było zapewne dzikich zwierząt. Od czasu do czasu dochodziły już nawet stamtąd rozmaite podejrzane głosy, a gdy noc zapadła, słychać było wyraźnie chrapliwe beczenie rysiów, ryki kuguarów i płaczliwe głosy kujotów [2]).

— Boisz się, Dży? — pytał Orso.

— Nie! — odpowiedziała dziewczynka.

Ale była już bardzo zmęczona i nie mogła iść dalej, więc Orso wziął ją na ręce i niósł. Sam jednak szedł ciągle naprzód, w nadziei, że trafi na jakiego skwatera, lub na namioty meksykańskie. Raz lub dwa razy zdawało mu się, że widzi w oddali świecące oczy dzikiego zwierza. Przytulał wtedy jedną ręką do piersi Jenny, która już spała ,drugą ściskał swoją pałkę. Sam był także strudzony bardzo. Mimo olbrzymiej jego siły, Jenny poczynała mu już ciężyć, tembardziej, że niósł ją na lewej ręce, prawą chciał mieć wolną do obrony. Chwilami stawał dla nabrania tchu, potem szedł dalej. Nagle zatrzymał się i nadstawił pilnie uszu. Zdawało mu się, że zdala dochodziły go odgłosy dzwonków, jakie skwaterowie przywiązują na noc krowom i kozom. Ruszywszy śpiesznie naprzód, wkrótce doszedł do skrętu strumienia . Głos dzwonków stawał się coraz wyraźniejszy, a nakoniec dołączyło się do nich szczekanie psa. Orso był już pewny, że zbliża się do jakiejś siedziby ludzkiej. Dla niego czas też był wielki: wyczerpał się przez dzień cały, i poczynało mu sił brakować.

Minął jeszcze jeden skręt i ujrzał światło; w miarę jak posuwał się naprzód, jego bystre oczy poczęły odróżniać ognisko, psa, który, widocznie przywiązany do pnia, szarpał się i szczekał, a wreszcie siedzącego koło płomienia człowieka.

— Boże daj, aby to był człowiek z ,,dobrej książki' — pomyślał.

Następnie postanowił obudzić Jenny.

— Dży! — zawołał: — obudź się, będziemy jedli.

— Co to? — pytała dziewczynka. — Gdzie my jesteśmy ?

— W pustyni.

Rozbudziła się zupełnie.

— A tam co za światło ?

— Tam mieszka jakiś człowiek. Będziemy jedli.

Biedny Orso był bardzo głodny.

Tymczasem byli już blizko ogniska. Pies szczekał coraz gwałtowniej, a stary człowiek, siedzący przy ogniu, przysłonił oczy i patrzał w ciemność. Po chwili spytał: :

— Kto tam ?

— To my... — odpowiedziała cienkim głosikiem Jenny — i bardzo nam się jeść chce.

— Zbliżcie się ! — rzekł stary człowiek.

Wyszedłszy z za wielkiego głazu, za którym byli ukryci, stanęli oboje przed ogniem, trzymają się az ręce. Starzec spojrzał na nich zdumionemi oczyma; z ust jego wyrwał się mimowoli okrzyk:

— *What is that ?* [3])

---

1) Rośliny pnące, oplątujące się dokoła drzew; 2) Zwierzę pokrewne lisowi, żyjące w Ameryce; 3) Co to jest (ang.)?

Ujrzał bowiem zjawisko, które w bezludnych górach Santa-Ana mogło każdego zdziwić. Oto i Orso i Jenny mieli na sobie cyrkowe kostiumy. Śliczna dzieweczka, ubrana w różowe trykoty i krótką spódniczkę, zjawiwszy się nagle, wyglądała w blasku ognia jak jaki sylf fantastyczny [1]). Za nią stał chłopak o niezwykłych kwadratowych kształtach, ubrany także w cielisty trykot, z pod którego przebijały jego muskuły nakształt sęków na dębie.

Stary skwater patrzał na nich szeroko otwartemi oczyma.

— Co wyście za jedni? — spytał.

Mała kobietka, licząc widocznie więcej na swoją niż towarzysza wymowę, poczęła szczebiotać:

— My z cyrku, kochany panie! Pan Hirsch wybił bardzo Orsa, a potem chciał bić mnie, więc Orso mnie nie dał i wybił pana Hirscha i czterech murzynów, i potem uciekliśmy na pustynię i szliśmy długo przez kaktusy, i Orso mnie niósł, potem przyszliśmy tu, i bardzo nam się jeść chce.

Twarz starego samotnika rozjaśniała się powoli, a oczy jego spoczęły z dobrotliwym ojcowskim wyrazem na uroczem dziecku, które śpieszyło się, jakby pragnąc wypowiedzieć wszystko jednym tchem.

— Jak ci na imię, mała ? — spytał.

— Jenny.

— Więc wellcome [2]). Jenny! i ty, Orso! Ja rzadko widuję ludzi... Pójdź do mnie, Jenny.

Mała kobietka bez namysłu zarzuciła swoje nagie rączki na szyję starca i ucałowała go serdecznie. Wydawał jej się z „dobrej książki".

— A czy nas pan Hirsch tu nie znajdzie ? — pytała, oderwawszy swą różaną buzię od zwiędłej twarzy osadnika.

— Kulę znajdzie! — odparł starzec, a po chwili dodał: — Mówicie, że wam się jeść chce?

— O, bardzo!

Skwater pogrzebał chwilę w popiele i wydobył z niego wspaniały udziec jeleni, którego zapach rozszedł się nakoło. Potem siedli do jedzenia.

Noc była pyszna; na niebo wysoko nad wąwóz wytoczył się księżyc, w gęstwinie poczęły śpiewać słodkim głosem maukawisy, ogień huczał wesoło. A Orso począł mruczeć z radości. Oboje z dziewczynką jedli, jak najęci; stary tylko samotnik jeść nie mógł — i niewiadomo dlaczego, spoglądając na małą Jenny, miał łzy w oczach.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

I odtąd ~~troje tych ludzi~~ te trzy osoby pędziło życie razem.

---

1) W wiekach średnich wierzono w istnienie istot nadprzyrodzonych, napowietrznych, zwanych sylfami; 2) Bądź pozdrowiona (ang.).